MYŚL NARODOWA

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 38 WARSZAWA, 1 LISTOPADA 1926 R. CENA NUMERU 1 zł.

INSTYNKTY DOŚRODKOWE i ODŚRODKOWE

W OBECNYCH czasach politycy muszą mieć poparcie szerokich mas. Nie należy pod wpływem rozczarowań i smutnych doświadczeń uwypuklać tylko ujemnych stron demokratyzacji politycznej. W teraźniejszem współzawodnictwie narodów jedynie świadome stanowisko i zachowanie się ogółu ludności daje możność skutecznej obrony interesów narodowych zarówno w czasie pokoju jak i wojny. Rząd, któryby się odgrodził od mas, stracił z niemi kontakt, prędzej czy później doprowadziłby państwo do katastrofy.

Chodzi wszakże o to, w jaki sposób kierownicy polityki i stronnictwa zdobyć mogą dla swych zamierzeń trwałe i stanowcze poparcie szerokich warstw. Bezwątpienia, dłuższy ich udział w życiu politycznem, uczestnictwo w pracy społecznej, podniesienie poziomu kultury, wyrabiają realizm w ujmowaniu wysuwających się zagadnień i przeciwdziałają nieokiełznanym harcom demagogji. Jednakże nie można się łudzić, aby powołane do urn rzesze mogły zorjentować się wśród licznych szczegółowych programów, obejmujących najróżnorodniejsze zagadnienia, i świadomie, zdając sobie rozumowo sprawę z konsekwencyj przedstawionych im rozwiązań, dokonywały wyboru między zwalczającemi się stronnictwami. Masy nie są zdolne ani do stwarzania programu, ani do decydowania o realizowaniu zadań państwowych. Jest to rola kierowniczej inteligencji, grupy rządzącej w społeczeństwie. Masy udzielają tylko poparcia tej grupie. Poparcie to będzie trwałe, jeżeli na czele społeczeństwa stoją autorytety, których wartość osobista, umysłowa i moralna, jest przez społeczeństwo uznana i którzy wskutek tego cieszą się zaufaniem. Albo też będzie przejściowe, o ile górę w społeczeństwie mieć będą demagogowie, którzy potrafią swą agitacją, swemi obietnicami pozyskać masy do chwili, gdy te przekonają się o zawodności radykalnych haseł, lub przechylą się na stronę demagogów, wysuwających nowe postulaty, zręczniejszych, posiadających jeszcze mniej skrupułów.

Politycy przeto odwołują się raczej do instynktów, do uczuć społeczeństwa. Te instynkty i uczucia podzielić należy ze stanowiska socjologicznego na dwie kategorje: dośrodkowych i odśrodkowych, rozbijających i skupiających ugrupowania społeczne.

Rozwój historyczny znamionuje wzmacnianie instynktów dodatnich, stopniowe osiąganie przewagi pierwszej kategorji nad drugą. Bez takiego zwycięstwa istnienie społeczeństwa i cywilizacji byłoby niemożliwe. Trzeba było długiego, wiekowego oddziaływania potęg moralnych oraz rozporządzającej siłą i przymusem władzy, tłumiącej i karzącej dążenia odśrodkowe, rozkładające, aby wytworzyły się cywilizowane społeczeństwa i narody. Dzięki tym czynnikom ugruntowały się w szerokich warstwach instynkty i uczucia, całkujące, skupiające grupę społeczną: uczucia i instynkty religijne, moralne, patrjotyczne, wspólne danej grupie, stwarzające z osobników trwałą jedność moralną. Ale nie przestały istnieć instynkty i uczucia egoistyczne, zdążające do zaspokojenia doraźnych pożądań i popędów jednostek. Ich siła może, gdy rozluźnią się więzy, narzucone przez cywilizację w postaci instynktów dodatnich, zniszczyć cywilizację, byt narodu i doprowadzić do nawrotu przezwyciężonego barbarzyństwa.

Trzeba sobie zdawać sprawę, iż współczesny ustrój demokratyczny niebezpieczeństwem powyższem społeczeństwom zagraża. Jeżeli rządy znajdą się przez dłuższy okres w ręku nie elity, reprezentującej ideę narodową, mającej poczucie historycznej odpowiedzialności za losy narodu, lecz w ręku lichych demagogów, dbających tylko o uchwycenie i utrzymanie się przy władzy, katastrofa cywilizacji i narodu staje się nieunikniona.

Mężowie stanu winni zatem szukać oparcia w do-

datnich uczuciach mas: religijnych, patrjotycznych, moralnych. Ich wprowadzenie w grę umożliwia dokonanie wielkich zadań, trwałe reformy, położenie podwalin pod potęgę narodu. Bowiem jedynie owe uczucia dają świadomość jedności narodu, wytwarzają przewagę interesów całości, sięgających w odleglejszą przyszłość, nad doraźnemi interesami jednostek i poszczególnych części składowych narodu, skłaniają do ofiar i poświęceń.

Łatwiejszą jest oczywiście agitacja demagogiczna, odwołująca się do poziomych pożądań i popędów jednostek, do instynktów odśrodkowych, jako pierwotniejszych, a więc występujących w masach z wielką mocą. Wówczas tłum ma przed oczyma doraźne korzyści, które mu obiecują, które mogą nawet chwilowo być zrealizowane. W podnieceniu zapomina o skutkach, lub nie jest zdolny przewidzieć skutków jednostronnego zaspokojenia pożądań dla jego własnego dobrobytu. Przy powodzeniu tych metod politycznych więź społeczna szybko słabnie, rozprzęga się poczucie żądań i interesów zbiorowości, zatraca się nawet instynkt samozachowawczy.

Chociażby demagogja społeczna nie apelowała wyłącznie do egoizmu jednostkowego, lecz rzucała hasła interesu stanowego, klasowego—rozkładowe, antynarodowe wyniki takiej agitacji ujawnić się muszą. Skoro raz się spotęguje instynkty egoistyczne, dążenie do zysków doraźnych bez oglądania się na interesy wyższej zbiorowości i na konsekwencje postępowania w przyszłości, wówczas odśrodkowy, antyspołeczny nastrój będzie działał dalej i poczucie solidarności grupowej, klasowej rozsadzone zostanie przez czysto osobisty egoizm, jeszcze bardziej pierwotny. Taki wsteczny proces nastąpić musi, ponieważ egoizm klasowy niszczy spójnię społeczną, opierającą się na uczuciu moralnem.

Hasła stanowe czy klasowe, jako drogowskazy polityczne, oznaczają cofnięcie się w postępie kultury ku tej epoce, która nie zdołała jeszcze wytworzyć poczucia wyższej wartości idealnej – dobra całego narodu w perspektywie historycznej. Miara ich powodzenia w postaci czystej, negującej podporządkowanie interesom narodowym, jest równocześnie miarą zapóźnienia w rozwoju cywilizacyjnym danego narodu, danej dzielnicy czy danej warstwy.

Wyższą niewątpliwie formą od organizacyj politycznych, opartych na klasach, podziale poziomym społeczeństwa, są organizacje zawodowe, czyli podział pionowy. Zadaniem tych ostatnich nie jest przeciwstawienie jednych warstw innym, lecz reprezentacja i obrona interesów pewnej dziedziny wytwórczości. Wskutek tego, jednocząc ludzi danego zawodu, mogą one snadniej wysuwać czynniki moralne, regulując współżycie poszczególnych kategoryj pracowników, uczestniczących w produkcji, mogą również patrzyć z szerszego stanowiska na rolę trwałą swego własnego zawodu w całokształcie zadań narodu. Ale i organizacja zawodowa siłą rzeczy na plan pierwszy wysuwać będzie sprawy, najbliżej ją obchodzące. Nie można znaleźć słusznego, niespornego miernika dla ustalenia wpływów poszczególnych zawodów na życie polityczne z punktu widzenia tylko zawodowego, gdyby nawet udało się doprowadzić do uzgodnienia poglądów i interesów warstw, należących do danego zawodu (robotników, techników, kierowników).

Wszelka organizacja, reprezentująca czynniki gospodarcze, musi odgrywać jedynie rolę rzeczoznawców, rolę doradczą, bowiem musi istnieć organ, rostrzygający zagadnienia polityczne ze stanowiska nieprzemijających interesów narodu. W ustroju demokratycznym, gdzie niema władzy niezależnej od społeczeństwa, od jego nastrojów i panujących w niem prądów, zorganizowanie narodu na podstawach klasowych, nawet produkcyjno-zawodowych jest anachronizmem, datującym z tej epoki, kiedy klasy i zawody reprezentowały swe interesy wobec stojącej poza niemi władzy państwowej. Dzisiaj w narodzie wytworzyć się musi elita umysłowa i moralna, rządząca w myśl dziejowych zadań narodu i zgodnie z temi zasadami uzgodniająca dążenia poszczególnych warstw i zawodów w poczuciu, że i te interesy grupowe są zasadniczo wspólne, jeżeli je oceniać w rzucie w przyszłość.

BOHDAN WASIUTYŃSKI

SAMORZĄD W IDEOLOGJI NARODOWEJ

W OKRESIE przedwojennym jedynym obrońcą i rzecznikiem samorządu ludności był w Polsce obóz narodowy. Koła zachowawcze opatrywały go zastrzeżeniami klasowemi, stronnictwa radykalne nie darzyły go poparciem w obawie przed konserwatyzmem mas. Każde z nich miało swoje pomysły polityczne doraźnego uszczęśliwienia narodu poza jego udziałem i wolą, to też rozwój jego organizacji naturalnej nie był im na rękę. Uwidoczniło się to zwłaszcza podczas wojny i okupacji, gdy obóz narodowy, pewny zmysłu patrjotycznego mas, odwoływał się śmiało do samorządu, natomiast rozmaitego nabożeństwa aktywiści, państwotwórcy, niepodległościowcy oraz ideolodzy legjonów unikali aktywności mas, jak djabeł święconej wody, myśląc jeno o narzucaniu z obcą pomocą swoich zbawczych koncepcyj narodowi „spodlonemu w niewoli".

Z nastaniem wolności nastąpiło ogólne zobojętnienie społeczeństwa do samorządu. Odgrywał on poprzednio w znacznym stopniu rolę wobec centralnych organów narodu zastępczą i z ich powołaniem musiał nieco usunąć się w cień. Biurokracja, z aktywizmu poczęta, była mu zresztą niechętna. Stronnictwa narodowe oddalały się odeń w miarę, jak coraz bardziej poza ich pojęciami i wpływem, w ramach istocie jego obcych był organizozowany, tem więcej, że obawiały się, iż w rękach mniejszości narodowościowych stać się może czynnikiem rozsadzającym jedność państwową. Względy to nader poważne i nie powinny pozostać bez wpływu na postulaty i zastrzeżenia obozu względem organizacji konkretnej samorządu, ale nie wyczerpują stosunku doń zasadniczego.

Wolność narodową panujące do końca wieku ubiegłego doktryny racjonalistyczne traktowały jako wy-

padek szczególny wolności osobistej. I nawet u nas dotychczas np. prof. Baudouin de Courtenay, będący przez ironję losu znakomitym badaczem jednego z treściowych wyrazów jaźni narodowej: języka, dopatruje się w narodowości zaledwie zbiorowiska jednostek. Dopiero nacjonalizm podjął teorje twórców socjologji o organicznym charakterze narodu, jako podstawę światopoglądu politycznego. Ale nacjonalizmowi grozi pozostanie prądem jałowym, o ile z przesłanki tej nie wyciągnie wniosków programowych, dotyczących całego systemu wewnętrznej organizacji narodu. Tymczasem zaś przyzwyczajony do walki z innemi prądami ideowemi częstokroć mimowoli upraszcza swoje zadanie i wpada bezwiednie w sidła liberalizmu. Zamiast skomplikowanej budowy hierarchicznej narodu skłonny jest powoływać jedynie centralną organizację władzy, z natury rzeczy oligarchiczną, pod którą pozostaje niepowiązane niczem ponadto zbiorowisko luźnych jednostek.

Błąd ten pochodzi oczywiście stąd tylko, że nacjonalizm nie miał jeszcze sposobności praktycznej wysnucia z założeń swych konstrukcji szczegółowej państwa i z konieczności ograniczał zadanie swe do pierwszego nieodzownego kroku po drodze do panowania. Gdy zaś, jak we Włoszech, a ostatnio w Hiszpanji, osiągnął władzę centralną, stanął wobec konieczności należytego zmontowania budowli społecznej narodu. Najbardziej interesującem i programowo zasadniczem posunięciem faszyzmu zostało powołanie t. zw. korporacji. Nie było wcale ich sztucznem tworzeniem. Żyły one w przemianach ewulucyjnych wiecznie, tylko, że przez rozproszkowujący naród na jednostki liberalizm lekceważone i pozbawione właściwej im roli w organizacji państwa. Mussolini dokonał jedynie recepcji życia grupowego narodu, co niegdyś było bujne i powinno na nowo zakwitnąć, ażeby poszczególne funkcje organizmu narodowego nie były wypaczone przez samowolę arytmetycznej większości.

Tymczasem podobno i faszyzm nie traktuje przychylnie samorządu lokalnego i zastępuje go rozbudową odgałęzień zarządu centralnego. Popełnilibyśmy wszakże błąd, dopatrując się w tem przejawu doktryny nacjonalistycznej. Opanowywanie organizacji wewnętrznej kraju przez oddanych prądowi ludzi z centrum cechuje jedynie moment rewolucyjny, ale nie jest charakterystyczne dla normalnej organizacji państwa na przesłankach nacjonalizmu opartej; jest walką z chorobami duszy narodowej, lecz nie jest jej sztucznem *ab ovo* tworzeniem. Nacjonalizm tem m. in. różni się od bolszewizmu, że ma wiarę w istnienie duszy narodowej i uważa się za jej naturalną emanację. Innemi słowy, emancypując ją od nacisków zewnętrznych, nie obawia się jej uzewnętrzniania się organicznego. Bynajmniej tedy nie dąży do kruszenia więzi wewnątrz społeczeństwa, lecz kultywuje je raczej, jako ogniwa hierarchji społecznej. Porównajmy stosunek bolszewizmu a nacjonalizmu do rodziny.

Zarówno jak wolność narodowa, tak i samorząd zostały restytuowane swego czasu przez liberalizm. I ten fakt właśnie wytwarzać może nieufny stosunek nacjonalizmu do samorządu. Istotnie, organizację jego oparto na wzorach parlamentaryzmu. Wprawdzie i w tej postaci zdolny on jest przeciwważać poniekąd ułomności tego ostatniego.Ale sam ma ich pełno. Nie stanowią one jednak bynajmniej cechy koniecznej samorządu lokalnego, a więc stosunku ujemnego do panującego typu ustroju samorządowego nie należy rozciągać na same więzi terytorjalne wewnątrz narodu. Zarówno jak rodzinne lub zawodowe, nie rozsadzają one jedności narodowej lecz są jej kitem. Obserwowaliśmy to nawet w stosunku poszczególnych ziem naszych do zagadnień ogólnonarodowych, np. w samoobronie polskiej na Śląsku, w Wileńszczyźnie, Małopolsce wschodniej, Chełmszczyźnie. Zburzenie przez najazd widomych central naszych nie wadziło odłamom terytorjalnym narodu bronić się przed gwałtem, i w tem łączność lokalna Kaszubów, Warmiaków, Ślązaków cieszyńskich i t. d. stanowiła czynnik wielkiej wagi, a najazd, wywołując reakcję, wytwarzał pośrednio nowe spójnie terytorjalne; to też w dzisiejszem zróżniczkowaniu dzielnic nie należy dopatrywać się samej dezorganizacji narodu i skutku presji zewnętrznej, lecz przedewszystkiem chlubnej tradycji wspólnej walki obronnej o polskość, która je cementuje zarówno wewnątrz, jak z całokształtem narodowym, i stanowi w bilansie sił naszych pozycję wielce doniosłą, nad którą gdyby unifikacja przeszła zbyt prostolinijnie do porządku dziennego, w dzielnicowości dopatrując się jeno wpływów niewoli, to godziłaby właśnie w jedność narodową, „wyrzucając wraz z kołyską dziecko“. Częstokroć nawet, jak na przykładzie Śląska Górnego i peryferji Wilna, spójnia organiczna ziemi poszczególnej z polskością nawiązywana była poza udziałem świadomym centralnej organizacji narodu i wbrew jej oczekiwaniom. To też postulat zjednoczenia ziem polskich był programem syntetyzowania woli narodu z opinij lokalnych. I gdy władze stołeczne kto wie, czy nie gotowe były rezygnować ewentualnie np. ze Lwowa, okazywało się, że Lwów — to znaczy więź lokalna ludności i jej przywiązania terytorjalne — nie rezygnował z Polski i swą wolę współżycia z nią potrafił wcielić orężnie w czyn.

O ile wielka jest rola zastępcza samorzutnej organizacji lokalnej w twórczości ogólnonarodowej, tem mniej budzić powinna wątpliwości korzyść nadania jej systemu i planowości w zastosowaniu do składników miejscowych budownictwa państwowego. Samorząd w tej postaci jest najwłaściwszem uzgodnieniem nieuniknionego oligarchizmu rządu z wzrostem powszechnym aktywności obywatelskiej, którą należy dla dobra ogólnego zużytkować. Aliści wyperswadować sobie należy gruntownie parlamentaryzm samorządowy, który może ewentualnie odpowiadać jednorodnemu składowi gminy kurpiowskiej, lecz jest system zbyt prymitywnym dla przeciętnej innej gminy zarówno wiejskiej, jak zwłaszcza miejskiej i obraz opinji lokalnej dawałby wypaczony. Obok mandatów wirylnych, związanych ze stanowiskami, należy powrócić do przedstawicielstwa grupowego, czyli zrefermowanej kurjalności, która nie jest w istocie niczem innem, jak zastosowaniem do samorządu zasady korporacji, i odrestaurować obywatelstwo gminne gwoli jej rzeczywistej spoistości. Kurjalność oczywiście nie powinna służyć upośledzeniu tej czy innej warstwy społecznej, lecz sharmonizowaniu wszystkich. Wbrew obecnym projektom należy domagać się wszechdzielnicowej unifikacji gminy wiejskiej, bez czego państwo natrafiałoby na trudność sięgania do niej i wprowadzenia w życie przy jej pomocy swoich postanowień, zwłaszcza zaś ze stanowiska jednolitego polskiego wychowania obywateli niepodobna tolerować pozostawienia w poszczególnych dzielnicach gminy typu różnego, a ustalonego na normach narodowo nam obcych.

Samorząd wyższego rządu, łączący wiele gmin, nie może być rozbijany, jak się projektuje u nas, na poszczególne gradacje. Ani historycznie ani logicznie nie da się usprawiedliwić pomiędzy gminą a władzą centralną więcej, niż jeden stopień organizacji samorządowej. Dzisiejsze powiaty nasze są zbyt małe, a więc i za słabe finansowo, ażeby ten szczebel stanowić, a znów zamało liczne na to, aby uchwały poszczególnych sejmików budzić mogły zainteresowanie społeczeństwa całego i wpływać na kształtowanje się opinji centralnej; województwa

zaś są w przeważnej części tworami zanadto przygodnemi i nie łączą poza niektóremi wyjątkami ludności w całokształty organiczne. Jednostka samorządowa powinna być raczej czemś pośredniem, zbliżonem do odpowiednika swego w krajach, gdzie wyrosła organicznie, jak w Anglji, na Węgrzech, w krajach Skandynawskich, Niderlandach i Polsce przedrozbiorowej.

Wydaje się, że na tym stopniu tworzenie przedstawicielstw typu parlamentarnego byłoby poniekąd atomizacją życia narodowego. Bodaj wskazany tu jest raczej tak zwany samorząd funkcyjny. Poszliśmy już po tej drodze, tworząc rady szkolne, projektując rozciągnięcie z województw zachodnich na całe państwo izb rolniczych, dążąc do przeobrażenia kas chorych w powszechne ubezpieczenia zdrowia, poczem dla samorządu „ogólnego" na tym poziomie organizacyjnym pozostawałyby niemal wyłącznie sprawy drogowe. Oprócz rolniczych należy nadto powołać zgodnie z konstytucją i inne izby gospodarcze, jako obowiązkowe związki zawodów, zorganizowane „pionowo", to znaczy z proporcjonalnem uwzględnieniem stanowiska poszczególnych grup w zawodzie. System powołania zarządów dla tych dziedzin administracji winien wyłączyć ogólnikowe formułki wyborcze, zastępując je zasadą celowości, związanej z kompetencją danych ciał. Mogą być nawet nadawane poprostu uprawnienia publiczne odpowiednim zrzeszeniom społecznym. Prowadziłyby te środki do większej fachowości pracy u podstaw naszego życia, redukowałyby w samorządzie politykę partyjną i upraszczały a zarazem specjalizowały nadzór państwowy, w dzisiejszym kształcie swym mało zróżniczkowany.

Droga do wprowadzenia zasad tych w życie jest najeżona trudnościami. Zbyt wiele jest bowiem czynników, pragnących traktować samorząd bądź jako trampolinę w karjerze politycznej, bądź jako aparat wyborczy i wogóle partyjny dla stronnictw sejmowych. Tem nie mniej wydaje się, że z głębszem poczuciem prawnem olbrzymich rzesz naszego narodu postulaty wypowiedziane tu są zbieżne. A przecież to właśnie stanowi ze stanowiska narodowego sprawdzian zasadniczy projektodawstwa organizacyjnego i dowód jego aktualnej słuszności. Istotnie, któż jest zadowolony z naszych rad miejskich, utworzonych zgodnie z „ostatniem słowem" demokracji, gdzież odgrywają one rolę przewodniczek lub wyrazicielek opinji? Nie należy stąd wyprowadzać wszakże wniosku, że samorząd jest zbędny, jeno, że winien otrzymać właściwą organizację. I w tym kierunku w obecnej dobie roztrzygania o naszem normalnem ustawodawstwie samorządowem powinien być wytężony wysiłek społeczeństwa.

WŁODZIMIERZ WAKAR

ZŁOTA MIĘDZYNARODÓWKA

I

HISTORYCY opowiadają, że zarówno w czasach bardzo dawnych, jak i nowszych można było częstokroć poza kotarami tronu wykryć „finansistę", podszeptującego najwyższej władzy taką lub inną decyzję. Jednakże czy to był jakiś Eleazar z Toledo, czy Fugger z Ratyzbony, czy wreszcie w czasach już nam bliższych jeden ze spadkobierców Amszela Rotszylda z Frankfurtu, to zawsze dotychczas były to indywidualne starania o osiągnięcie indywidualnych korzyści, a więc dzierżawy podatków w jakiejś prowincji, przywileju na handel, czy bicie monety, słowem koncesji, na której można było dobrze zarobić. Kapitalista, korzystając z potrzeby monarchy, wzamian za wygodzenie, wymawiał sobie jakiś tłusty połeć, nic więcej. W zbiorowem wystąpieniu międzynarodowych bankierów, które słusznie tak wielkie wywołało sprzeciwy, podkreślić należy dwie cechy, które nadają temu wystąpieniu charakter zasadniczo różny od owych podszeptów z za kotary: pierwsza to właśnie jego zbiorowość i międzynarodowość, druga to polityczny charakter postulatów. Że jakiś kapitalista danego kraju chciał zarobić na swoim królu, pozostając zresztą wiernym jego poddanym i wykonawcą jego woli, to nic ani szczególnie zdrożnego, ani też groźnego, natomiast groźne jest, że kapitaliści wszystkich krajów łączą się, żeby zarobić na wszystkich, a w tem dążeniu porzucają postawę wiernych poddanych królów, czy najjaśniejszych republik i atakują otwarcie polityczne decyzje, do których narody doszły za cenę morza krwi i morza łez. Manifest bankierów jest pierwszym jawnym, niejako konstytuującym w oczach całego świata aktem „złotej międzynarodówki", usiłującej stanąć ponad rządami i narzucić narodom swą wolę. Ujawniła się nowa oligarchja, sięgająca po władzę nad światem. Czy narody mogą ją przyjąć?

Władza ta w wielu krajach, które posunęły się dalej od nas w kierunku industrjalizmu i kapitalizmu, istnieje faktycznie w rozmaitych dziedzinach. Działała jednak dotychczas skrycie, za kulisami, jakby rozumiejąc swą monstrualność. Ujawnienie jej w manifeście można przypisać chyba tylko fałszywej ocenie moralnego stanu społeczeństw, przecenieniu chaosu, a raczej nihilizmu hierarchicznego, do którego doprowadzić zdołał narody panujący dotychczas liberalizm. Bo przyznanie władzy pieniądzowi, a raczej ludziom jego obrotami kierującym, możliwe byłoby tylko przy zupełnym zaniku poczucia hierarchji moralnej, gdyż byłaby to władza nie tylko niewiadomego, lecz wogóle bez żadnego oblicza, bez żadnego moralnego autorytetu. „*Pecunia non olet*". Ta dewiza znalazła jaskrawy wyraz już w pierwszym manifeście złotej międzynarodówki: pokrajać nanowo ledwie co złączone żywe ciała narodowe, byle handel szedł. Handel czemkolwiek i z kimkolwiek, kto i co jest pod ręką.

Bismarck w swoich pamiętnikach przestrzega polityków, działających na szerokich terenach międzynarodowych, przed poleganiem na zdaniu bankierów; uważa je za zbyt jednostronne i krótkowzroczne. Valois wykazuje, że ludzie typu burżuazyjnego, cenni jako element przysparzający bogactwa narodowego, nie nadają się do rozstrzygania i kierowania sprawami państwowemi: ciasny horyzont, tendencja do chwytania przedewszystkiem najbliższych szans „dobrego interesu" sprowadza na państwo klęski. Historja chociażby tych kilku lat powojennych, w których w naszych oczach dopuszczenie do głosu t. zw. „wielkich kapitanów przemysłu" w znacznej mierze zmarnowało we Francji rezultaty zwycięskiego wysiłku wojennego i stworzyło ogniska nowych, może niedalekich powikłań, dowodzi prawdziwości tej tezy. Jeżeli te zastrzeżenia stosują się słusznie do całego typu, nazwanego tu „burżuazyjnym" (rzecz jasna nie ze względu na pochodzenie, lecz na usposobienie), typu, który z usposobienia i nawyczki rozmyśla przedewszystkiem o robieniu interesów, to tembardziej stosują się one do tej jego części, która manewruje na rynku międzynarodowym obrotami pieniężnemi. Jakie ten typ przedstawia moralne kwalifikacje i kogo reprezentuje?

Co do kwalifikacyj moralnych, to nie jest tajemnicą, że wśród przedstawicieli tego typu, i to nie najmniej wpływowych, są dosłownie ci, których Chrystus wypędził ze świątyni, rekiny wielkich giełd, gruntujący swą potęgę na zręcznej grze na zwyżkę, czy na zniżkę. Czy to ma być kwalifikacją, lub gwarancją? „Wielkością“ i to znaczną jest wśród nich n. p. p. Horacy (!) Finally, naturalizowany we Francji żyd węgierski, o którego manewrach na szkodę waluty przybranej ojczyzny mówią i piszą szeroko w Paryżu. „Wielkością“ pierwszej klasy jest w tym świecie drugi osobnik „bez rodu i plemienia“, p. Bazyli Zacharoff, podobno grek z pochodzenia z pokostem rosyjskim, później szlachcic angielski, a bodajże i obywatel amerykański, właściciel jaskini gry w Monte Carlo. Wielkościami są, albo byli do niedawna, szczęśliwi waluciarze wiedeńscy Bosel i Castiglioni. Czy i oni mają decydować o polityce narodów i o tem, jak ma wyglądać mapa Europy?

Kogo reprezentują? Samych siebie. Swój spryt i brak hamulców sumienia.

Trzeba sobie jednak zdać sprawę, że mimo jasną dla wszystkich bezpodstawność uroszczeń „złotej międzynarodówki“, jej powstanie i sięganie po władzę jest logiczną konsekwencją systemu, który stawia na pierwszem miejscu celowość danego kroku czy środka i każe innym wszystkim względom ustępować przed nią. Kapitał spekulacyjny, bankierski w krajach, posuniętych kapitalistycznie najdalej, podbił kapitalistów produkujących, będących dziś dość powszechnie już tylko wasalami banków „finansujących“. Stanowi to dalszy krok w zacieraniu indywidualności produkcji i ułatwia oczywiście tworzenie wszelakiego rodzaju trustów i kombinacyj, opanowanie rynków i dyktowanie cen. Do tej faktycznej potęgi kapitału bankowego dodać trzeba potęgę sugestywną, osiągniętą przez opanowanie prasy i urabianie opinji publicznej według chwilowej potrzeby i widoków. Otoczono pieniądz aureolą tajemniczej i dobroczynnej potęgi, a fantazja entuzjastów dochodzi do takich wybryków, jak nazywanie giełdy „świątynią“ bez zdawania sobie nawet sprawy z bluźnierstwa przeciw duchowi ludzkiemu, jakie w tem powiedzeniu jest zawarte. Chłodniejsi nazywają giełdę „termometrem“, czy „barometrem“ i potrafili wmówić w opinję, że to siedlisko szwindlu jest nietylko instytucją konieczną i pożyteczną, lecz rzeczywiście jakimś jedynym, najdoskonalszym miernikiem stanu gospodarczego kraju.

Złota międzynarodówka zdobyła już silne pozycje i maszeruje na podbój świata. Pieniądz, czynnik przy wytwarzaniu nowych wartości bierny, wysuwa się na miejsce dominujące i usiłuje zapanować nad całością życia. Nie potrzeba dowodzić, że gdyby to osiągnął, to cywilizacji naszej zagroziłby kryzys, prowadzący z pewnością do jej zagłady. Na niektórych polach (nie na wszystkich, a nawet tylko na mniej ważnych) przeciwstawia się złotej międzynarodówce — międzynarodówka czerwona. Jest to wypędzanie djabła przez belzebuba, gdyż czerwona gloryfikuje drugi znów bierny czynnik— pracę fizyczną, a jej przewaga grozi taką samą zagładą cywilizacji: niedociągniątym do końca przykładem naocznym jest Rosja sowiecka.

Jeżeli cywilizacja nasza ma przetrwać, a nie zginąć, jak ginęły inne, to myśl narodów musi dać sobie radę z temi zamachami, musi postawić zapomniany dziś często autorytet moralny na należytem stanowisku, a czynnikom gospodarczym wskazać miejsce, jakie im się w hierarchji społecznej należy. Bierną dotychczas pracę fizyczną wzbogacić pierwiastkami twórczemi, zaborczemu pieniądzowi wyjąć zęby trujące i skierować tak, aby służył pożytecznie rozwojowi cywilizacji, nie marząc o panowaniu nad całością życia narodów.

Nie leży to bynajmniej w dziedzinie niemożliwości.

ZYGMUNT RACZKOWSKI

PARTYKULARZ UNIWERSALIZMU

KSIĄŻKA p. Jana Nepomucena Millera p. t. „Zaraza w Grenadzie“ wywołała ostrą i ożywioną polemikę; rozgłos, który sobie zdobyła nie da się jednak wytłumaczyć ani oryginalnością przeprowadzonych w niej myśli, ani jakiemikolwiek innemi zaletami treści czy formy. Poruszenie wywołała rewolucyjna redakcja jej tez. I oto krytyka zajęła się skwapliwie roztrząsaniem poglądów p. Millera na dadaizm „Pana Tadeusza“, lub stosunek sztuki do życia; natomiast nie zadała sobie trudu zbadania ciężaru gatunkowego omawianej książki, określenia jej poziomu literackiego, zorjentowania się, czy posiada ona warunki po temu, aby tezy jej poddawać szczegółowej dyskusji. A od tej sprawy trzeba było zacząć. Poniższe uwagi mają na celu (spóźnione coprawda) wypełnienie tej luki.

Autor „Zarazy w Grenadzie“ zapowiada w przedmowie, że książka jego toruje drogę nowej koncepcji życia polskiego — nie jest to więc studjum z zakresu teorji czy historji literatury, lecz praca zakrojona na skalę o wiele szerszą, przypisująca sobie doniosłość ogólno-kulturalną. Autor za podstawę objektywną swoich rozważań bierze rzeczywiste (w jego mniemaniu) ustosunkowanie sił moralnych, umysłowych, artystycznych, społecznych naszego narodu w chwili obecnej, ten stan rzeczy analizuje, krytykuje i z krytyki tej wysnuwa program reformacyjny, którego punktem wyjścia są sprawy sztuki, ściślej literatury, ale który ogarnia całość życia narodowego.

Już w samem rozłożeniu materjału dostrzec łatwo można schematyzm, bezceremonjalnie zniekształcający rzeczywistość, a przeto wzbudzający uzasadnioną nieufność do tez, którym służył za podstawę. P. Millerowi zarysowuje się życie polskie w schemacie następującym: z jednej strony romantyzm i modernizm literacki z odpowiadającym im splotem powikłań psychicznych w łonie samego społeczeństwa, z drugiej świat pracy, wyzwolonego proletarjatu, stwarzającego nowe wartości społeczne, moralne, artystyczne. Pomiędzy temi dwowa światami niema żadnego łącznika; świat stary żyje bezpłodnemi wspomnieniami przeszłości, grzęźnie w bierności i sentymentalizmie, karmi się ochłapami przestarzałej, szlachecko-burżuazyjnej koncepcji życia — świat zaś nowy jest cały gigantyczną, nieskończenie płodną twórczością.

Niewątpliwie, prawdą jest, że istnieją te dwie postaci życia i myśli, o których mówi p. Miller, że się ze sobą ścierają, przeciwstawiają sobie ideowo i praktycznie. Natomiast nieprawdą jest to (co wynika z wywodów p. Millera), że między światem starym, romantycznym, a tym światem pracy, o którym mówi p. Miller, stanowiącym postać *toto genere* różną od pierwszego i wrogą mu, niema żadnych innych form życia i myśli i że dopiero uniwersalizm p. Millera nowej koncepcji życia polskiego drogę toruje.

Mówiąc konkretnie: p. Miller zapomina jakgdyby, że zagadnienie stosunku świata przeszłości, świata tradycji do świata teraźniejszości, było ośrodkiem na bardzo szeroką skalę zorganizowanej pracy myślowej całego sze-

regu pierwszorzędnych pisarzy i publicystów, ideologów nacjonalizmu polskiego, że pracy tej towarzyszyła działalność praktyczna, polityczno-społeczna. Wymienię tu tylko Jana Ludwika Popławskiego, Balickiego, Dmowskiego. Nie wziął p. Miller również pod uwagę, że wyszła w Polsce książka Zygmunta Wasilewskiego „O życiu i katastrofach cywilizacji narodowej“ która daje głęboką syntezę tamtych usiłowań, zarazem rozwijając własną koncepcję życia narodowego.[1]) P. Miller może nie zgadzać się z tamtymi pisarzami, może zwalczać ich poglądy, przeciwstawiać im swoje — ale jeśli chce, aby jego książka miała istotnie uniwersalne, a nie partykularne tylko znaczenie, to nie wolno mu pomijać milczeniem obszernej literatury, traktującej, mimo pozornej rozbieżności tematów, o tem samem zagadnieniu, które on usiłuje rozwiązać, zagadnieniu stosunku starego do nowego świata. Nie wolno mu też zamykać oczu na fakt, już czysto życiowy, że znaczny odłam społeczeństwa polskiego rozwiązał to zagadnienie (sposobem, który wolno p. Millerowi ganić czy chwalić) w praktyce, wytwarzając ośrodki energji społecznej, której ani w ramki romantycznej „szlachetczyzny“ ani „zwycięskiej twórczości proletarjackiej“ wtłoczyć się nie da. Pomijając w swoich rozważaniach zdobycze nacjonalizmu polskiego ostatnich lat kilkudziesięciu, p. Miller zamyka się dobrowolnie w fikcyjnem środowisku faktów, a przez to i na rezultaty swej pracy piętno fikcyjności nakłada.

Zniekształceniom rzeczywistości w dziedzinie historycznego przedstawienia odpowiada sztywny aprioryzm w dziedzinie myśli reformacyjnej.

P. Miller, występujący jako rzecznik intuicjonizmu, mówiący tak wiele o potrzebie wczuwania się i wżywania w procesy społeczne, psychiczne — zachowuje się wobec tak subtelnego procesu jak twórczość artystyczna z naiwnym despotyzmem człowieka, któremu się zdaje, że wystarczy powiedzieć „coś być powinno“, aby to „coś“, jeśli nie urzeczywistniło się całkowicie, to przynajmniej było na drodze do urzeczywistnienia. Ten nałóg myślenia uwydatnia się np. w rozważaniach nad reformą teatru. P. Miller wychodzi z założenia, że istniejący dziś przedział między widzem i aktorem nie odpowiada wymaganiom życia, że zaznacza się potrzeba zespolenia obu czynników, ich współpracy i współtwórczości. Zarazem podaje p. Miller rozwiązanie praktyczne. Mówi mianowicie, że przedstawieniu teatralnemu powinna towarzyszyć muzyka, która byłaby wyrazem stosunku publiczności do rozgrywającej się na scenie akcji.

Niema chyba nic gruntowniej niepłodnego jak wszelkie projekty twórczości. Wobec twórczości dwa są jedynie słuszne stanowiska: albo tworzyć samemu, albo badać jakąś twórczość konkretną. Można, będąc twórcą, nawiązywać wymianę myśli z innemi twórcami i tą drogą własną twórczość pogłębiać, można organizować rozstrzelone wysiłki twórcze jednostek, ale p r o j e k t o w a ć pewien typ twórczości jest takim samym absurdem, jakim byłoby projektowanie miłości. W danym wypadku: albo próba fuzji sceniczno-muzycznej, o której mówi p. Miller, już się odbyła, a przez to samo uwydatniła swoje walory artystyczne, społeczne i wszelkie inne — w takim razie możemy ten historyczny już fakt rozważać i komentować,—albo sam p. Miller ją podejmie. Między temi możliwościami rozpościera się mglista sfera projektów, czegoś pośredniego między czczem gadulstwem a czynem—od czego roi się w tym właśnie sentymentalnym, zdziecinniałym, w biernem przeżuwaniu przeszłości pogrążonym świecie, gdzie to każdy ma na podorędziu taki swój projekcik zbawienia Polski i Europy, w świecie, który jest przedmiotem ataków p. Millera.

Jakkolwiek pojmować będziemy uniwersalizm (w wykładzie p. Millera ma on conajmniej pięć znaczeń), trzeba go będzie zawsze chyba uważać za kierunek, zwalczający wszelką postać życia zamkniętego, wszelką sztuczność, powstałą z izolacji społecznej jednostki i kultywowania mglistych kapryśnych stanów psychicznych. To właśnie pojmowanie uniwersalizmu nakazało p. Millerowi stanąć w opozycji do modernizmu. Opozycja to jednak czysto słowna. Język p. Millera świadczy o tem z dużą wyrazistością.

„To ona — Jagna, pierworodna córa Chaosu, jako pramacierz Ziemia wyłoniła z siebie potworne, zagubione w wielości swego parcia zmysłowego kształty sturękich olbrzymów straszliwe przerosty i niedokształty jednookich cyklopów, żądnych władzy, pełnych bezkresnych pożądań Tytanów, Tytanidów“.

Oto w jakich słowach charakteryzuje polski uniwersalista Jagnę Borynową, bohaterkę chłopskiej, „uniwersalistycznej“ epopei. — Pominąwszy bezbrzeżną banalność tego języka, trącącego płytką modernistyczną manjerą, która w żywocie twórczym wielu literatów odegrała rolę prawdziwego podręcznika oryginalności, trudno nie spostrzec, jak daleki jest ten żargon literacki od języka, którym przemawia nie fikcyjny, lecz prawdziwy poeta mas.

Blizkość duchowa p. Millera opiewanemu przezeń „światu pracy“ wydaje się mocno wątpliwa. Czytelnikowi niepodobna oprzeć się wrażeniu, że ma do czynienia z jedną z tak licznych prób „literackiego“ ożywienia i odmłodzenia się przez puszczenie w ruch sztucznych a głośno huczących wodospadów pseudo-żywiołowości, której rzeczywistym nerwem jest zgryźliwość inteligencka i łaknienie wydobycia się z pod duszącego jarzma nudy. Działalność reformatorska wtedy może być twórczą, to znaczy może organizować energję ludzką w lepszy niż dotąd sposób, kiedy wyrasta z jakiejś postaci ż y c i a, kiedy jest ostatnim etapem głębokiego wewnętrznego procesu, przerzucającego most od duszy jednostki ludzkiej—do społeczności. Wpadać w pasję na widok egzemplarza „Pana Tadeusza“ i mieć wyobraźnię wrażliwą na podniety estetyczne, w których masa ludzka gra rolę dominującą, to jeszcze za mało, aby „nowej koncepcji życia polskiego“ drogę torować.

Tendencja dydaktyczna książki p. Millera jest widoczna, autor podkreśla ją nawet z całym naciskiem. O poziomie tego dydaktyzmu dają świadectwo rozważania autora na temat wpływu „Pana Tadeusza“ na młode pokolenie polskie. Czytając te rozważania, odnosi się wrażenie, że mamy przed sobą nie rewolucyjną książkę budowniczego nowego życia, lecz jakąś popularną broszurkę w duchu „postępowym“ z przed lat trzydziestu. W krytyce odwykliśmy już od belferstwa, raczej skarżyć się możemy na estetyzujące tendencje, przesubtelnienie, zamiłowanie w półtonach i niedomówieniach, od których roi się w pracach naszych młodych pisarzy. I piękny w zasadzie powziął p. Miller zamiar—zerwania z temi nałogami i wprowadzenia do krytyki momentu dydaktycznego. Ale dzisiejszy dydaktyzm musi być jednak inny, niż ten, który „kwitł“ w okresie zaborów, sztucznego zahamowania życia narodowego, kiedy to już sam układ warunków zewnętrznych kierował wszystkie myśli ku sprawom najbliższym, podsuwał rozwiązania najprostsze i najłatwiejsze, nie dając ani czasu ani pola na próby szersze, na głębszy eksperyment myślowy.

Po wszystkich „wtajemniczeniach kosmicznych“, „niedokształtach“ i „bezukojnych tęsknotach“—dostajemy się

[1]) W swej ostatniej publikacji, niedawno wydanych „Dyskusjach“, Wasilewski kreśli daleko sięgający rodowód polskiej ideologji pracy, dając właściwe oświetlenie tej ideologji, uchodzącej, nawet w świecie literackim, najniesłuszniej za wynalazek ostatnich dziesiątków lat. — Por. Z. Wasilewski: „Dyskusje“. Rozdz. Idea pracy.

w tekturowy światek jakiegoś „N i e d o r o s l a“ Fonwizina. Dialektyka tego światka jest prościutka: staroświecki schemacik moralizatorski z odwiecznym podziałem na typy dodatnie i ujemne i z niewypowiedzianem, choć z każdego przezierającym wiersza przekonaniem, że opisywanie rzeczy „dobrych“ buduje duszę — zaś „złych“ ją paczy. Ani kroku poza ten schemacik. „Pan Tadeusz“ opisuje rzeczy „złe“—„Pan Tadeusz“ jest „szkodliwy“.— Nawet śladu próby wejrzenia w moc artystyczną utworu, która dokonała tu prawdziwego cudu: zamknięcia w słowie całego szmata historycznie urobionej duszy polskiej z tak skończoną doskonałością, że tylko człowiek, nie wyczuwający powagi historycznego ciążenia przeszłości na życiu naszem, może mierzyć to dzieło schemacikiem jakiejś po belfersku pojętej „pożyteczności wychowawczej“.

Wystarczy zrobić tylko krok poza dydektyzm belferski, aby ocenić wpływ poematu na młodzież polską: wyraża się on w wyrobieniu w niej poczucia realności dziedzictwa historycznego („dobrego“ czy „złego“ — zostawmy to guwernantkom), które od przeszłości przejęła, z którego wyrosła i na którem w poczynaniach swoich oprzeć się musi. Niesłychanie ważną jest rzeczą rozbudzić w człowieku świadomość historyczną, pokazać mu palcem: oto skąd się wywodzisz! Czy podoba ci się to czy nie,—cokolwiek zrobisz, będzie zawsze zbudowane na tym jedynym fundamencie, na którym oprzeć się musisz, jeśli chcesz działać: na twojej historji. Brzozowski doskonale tę prawdę rozumiał i często do niej w swych pismach powracał. Do p. Millera przemówić jednak nie potrafił.

Aby zdać sobie sprawę jak dalece mało żywotne jest pojęcie uniwersalizmu, którem p.Miller wciąż operuje, przyjrzyjmy się jednemu z etapów mistycznej podróży, którą to pojęcie w książce p. Millera odbywa, ukazując się pod coraz to nową, a zawsze tajemniczą postacią.

Otóż okazało się, że Kasprowicz jest uniwersalistą. Podstawą tej nobilitacji — „Księga Ubogich“. A dlaczego „Księga Ubogich“ jest utworem uniwersalistycznym? Bo—pisze p. Miller— „W „Księdze Ubogich“ Kasprowicz istotnie oczyszcza konkretną zjawę rzeczywistości z cech przypadkowych, odrębnych, swoistych, szczególnych“. A więc o tem, czy utwór jest czy nie jest uniwersalistyczny, decydować może sprawa obecności w nim momentów opisowych, związanych z jakiemś konkretnem miejscem geograficznem, lub wydarzeniem dziejowem. Tam, gdzie są te momenty, utwór grzeszy „ciasnotą“ tam zaś, gdzie tło utworu jest pod tym względem nieokreślone, mamy do czynienia z koncepcją uniwersalistyczną. Ale co znaczy w tym wypadku „uniwersalistyczna“? Czy to, że dany utwór, jest w tym samym stopniu blizki wszystkim ludziom i jednakowo dla wszystkich zrozumiały?

Jeżeli tak, to przypomnieć tu wypada rzecz znaną każdemu, kto książki nietylko czytał, ale i zżył się z niemi, mianowicie, że zagadnienia tak zwane ogólnoludzkie: filozoficzne, teologiczne a do pewnego stopnia nawet i naukowe posiadają cechę „uniwersalności“ dotąd tylko, dokąd są zagadnieniami z a d a n e m i do rozwiązania, z chwilą zaś, gdy człowiek zaczyna je rozwiązywać, stają się jego sprawą osobistą i praca uczonego czy filozofa posuwa się drogą, wyznaczoną przez osobowość indywidualną i narodową badacza. Dość przytoczyć tu kilka zestawień nazwiskowych: Hume - Hegel, Bossuet - Schleiermacher, Darwin-Haeckel, aby uprzytomnić sobie, jak dalece rozbieżne rezultaty wydała praca myślicieli różnych narodowości i temperamentów na polu tych samych „ogólnych“ zagadnień. Myślę, że umysł przeciętnego Anglika z większym trudem asymiluje niemiecki idealizm filozoficzny, niż poezje tatrzańskie Kasprowicza. Dlaczego więc mielibyśmy przyznać cechę „uniwersalności“ rozważaniom t. zw. zagadnień ogólnych, dotyczących człowieka, jego losu, stosunku do Boga, przyrody i t. d., a odmówić jej poezji, opiewającej piękno jakiegoś zakątka globu? A może utwór „uniwersalistyczny“ znaczy tyle co: obierający sobie za temat zagadnienia wiecznie i powszechnie dla człowieka aktualne? W tem rozumieniu „uniwersalność“ jest pozycją klasyfikacyjną czysto formalną i nie mającą dla badacza utworów ducha ludzkiego żadnego znaczenia; cecha powszechności zagadnienia, jak powiedziane było, ogranicza się do momentu jego sformułowania i zanika z chwilą, gdy na widownię wystąpi twórczość, „uniwersalność“ zatem w drugiem rozumieniu terminu nie oznacza żadnego faktu psychologicznego. Biorąc rzeczy psychologicznie, nie można wskazać momentu granicznego między ogólnemi a lokalnemi czy czasowemi zagadnieniami. Na pewnym poziomie życia psychicznego wiążą się one w jeden organizm myślowo-uczuciowy, rozwijający się harmonijnie.

Książka p. Millera liczy stronic dwieście i jedną, a tę swoją zasobność zawdzięcza w trzech czwartych — powiedzmy otwarcie—komunałowi. Komunał jest tu tak rozpanoszony, tak zrośnięty organicznie z myślami własnemi autora, a przytem tak pretensjonalnie nastroszony, że sprawia niemałą trudność czytelnikowi, który chciałby się dowiedzieć, co autor książki o pewnych sprawach naprawdę myśli. Brnąc śród tych spiętrzeń piany dialektycznej, pozostaje się niezmiennie pod jednem wrażeniem—że autor czuje gwałtowną potrzebę protestu, ale nie uprzytomnił sobie należycie, przeciw czemu ma protestować, kto jest jego wrogiem, kto sprzymierzeńcem.

Pozwolę sobie tu autora wyręczyć i na postawione wyżej pytanie odpowiedzieć.—P. Miller, jak wszyscy ludzie, którzy mają świeżo w pamięci czasy „rosyjskie“, żyje do dziś pod wrażeniem tego przygniatającego ubóstwa, które cechowało w owych czasach średni poziom naszego życia publicznego i literackiego. Każdy, kto wówczas wyjeżdżał za granicę, nie mógł oprzeć się uczuciu pewnego oszołomienia, którego po rocznem czy paroletniem siedzeniu kamieniem w kraju doznawał przy zetknięciu się z kulturą zachodnio-europejską. Wszystko tam było inne, świeże, pełne wigoru, radosne. Czy to gazeta czytana przy rannej kawie, czy afisz teatralny, czy tramwaj, czy nauka, literatura i sztuka—wszystko tętniło życiem, zewsząd wyzierała moc twórczej i tworzącej kultury wolnego narodu. W kraju, trochę ze zrozumienia potrzeby, a trochę przez snobizm, w miarę możności, „robiono Europę“ — i w rezultacie zdobywano się na... założenie pisma „modernistycznego“, które czytywało z namaszczeniem dziesięciu literatów, a sto kumoszek prenumerowało zamiast „Muchy“—lub otwarcie kawiarni w stylu „secesyjnym“, którą przez pół roku odwiedzała „cała Warszawa“. (Na obrzydliwe domy secesyjne, które w pewnym okresie zaczęły wyrastać jak grzyby po deszczu, patrzono z niejakiem poszanowaniem i doszukiwano się w tem „prawdziwej“ Europy).

To pretensjonalne kołtuństwo, częściowo z winy warunków pleniące się w kraju, a częściowo z naszej własnej, dławiło jednostki wartościowsze, wrażliwsze. Na tle tego zastoju cywilizacyjnego pojawili się prorocy europeizmu pokroju pana Zygmunta Podfilipskiego, którzy uważali, że wystarczy przyswoić sobie elementy materjalnej kultury zachodu i mieć coś-niecoś z wielkopańskich tradycyj, aby z aplombem ton życiu polskiemu nadawać. Byli też inni, tacy Jelscy z „Próchna“, których łaknienie bogatego, pełnego życia rzuciło w objęcia obcej cywilizacji. (Do dziś dnia nie doceniono społecznego znaczenia tych dwóch powieści, które dla przyszłego badacza kultury polskiej okresu zaborów pierwszorzędną będą miały wartość).

Nie brakło też w tym okresie zastoju pisarzy, którzy satyrą przedewszystkiem rodzime wypalali kołtuństwo — olbrzymia w tym względzie jest zasługa Nowaczyńskiego. Dziś, choć cieszymy się niepodległością, nie jesteśmy bynajmniej wyleczeni z naleciałości epoki ubiegłej. Kołtun dziś poleruje sobie paznogcie, chodzi na dancing, zaczytuje się Tagorem i lubi przybierać pozę naukowości, ale w głębi swej paskudnej duszyczki niewiele co się zmienił. Walczyć z nim trzeba.

Jedynie pogłębienie naszego stosunku do tkwiących w psychice narodowej sił będzie tej walki realnym a nie doktrynerskim programem. Przewidzieć jakiemi będzie się posuwała drogami — nie sposób. Skupić siły twórcze — a resztę życiu zostawić! Cherlactwo kulturalne nie stąd powstało, że myśli zwrócone były na te lub inne zagadnienia, że problematyka była „ciasna", lecz, że ludzie byli karłowaci. Niech w Polsce pojawią się ludzie pełnego wymiaru, a sprawa kołtuna upadnie automatycznie.

To, co po odrzuceniu balastu frazeologji, pozostanie niezaprzeczenie żywotnego i słusznego zarazem z książki p. Millera, będzie to, przebijający z poza mętnej treści wywodów, instynktowny protest przeciw cherlactwu kulturalnemu, trafny w założeniu i całkowicie chybiony w przeprowadzeniu. Pisarz, dobrym wiedziony instynktem, nie znalazł jednak właściwej sobie tonacji i nie mogąc zawołać swoim własnym głosem, chwycił się przestarzałych i banalnych środków ekspresji, oparł na potędze komunału, zaapelował do trywjalnych nawyknień umysłowych szerokiej publiczności, a nadewszystko zaniedbał dość skrupulatnego rachunku sumienia. Wszystko, co dał pozytywnego w swej pracy: zapał, odwagę (ujawnioną w obronie tez, które już tyle na niego ściągnęły zarzutów), gest szerszego, ponadpartyjnego ujęcia zagadnień — wszystko to zagłuszyła hałaśliwa, proroczo udrapowana dialektyka, wyciskając na dziele niezatarte piętno pretensjonalności i niedojrzałości. Chciano zburzyć partykularz zdziecinniałego romantyzmu, a wystawiono na pokaz inny partykularz, wyspekulowanego uniwersalizmu.

Przy końcu swej pracy p. Miller zapowiada rychłe ogłoszenie następnej, w której omówić ma twórczość najmłodszych poetów polskich. Należy mu życzyć, aby wówczas przemówił już własnym głosem.

JAN EMIL SKIWSKI

ŚLEPIEC

...PO polach, zasnutych gęstą mgłą, szedł ślepy człowiek. Trudno było rozpoznać jego lata, gdyż świeża o krasnej barwie twarz wyraz miała starczy i zmęczony, a na szerokie, młodzieńcze ramiona opadał w rzadkich kosmykach martwy, siwy włos. Ubiór nie zdradzał również ani stanu, ani nawet epoki historycznej, do której mógłby należeć. Łachmany pokryły wychudłe ciało, lecz z bark zwieszał się ku ziemi fałdzisty płaszcz, królewskim podbity aksamitem. Czoło i głowa wędrowca chronione było od wiatru czapką wieśniaczą, na nogach miał safjanowe, barwione trzewiki — a żebraczy kostur w dłoni.

Szedł wolno, macając drogę kijem, bowiem bielmo zakrywało mu źrenice; nieraz potykał się na ostrych, polnych kamieniach, upadał i leżał w prochu twarzą przy ziemi. Lecz rychło się dźwigał i wznosząc szklane oczy ku niewidzialnym dla niego chmurom, ślepy człowiek szedł dalej, a wargi jego spieczone gorączką poruszały się w jakimś dziwnym szepcie.

Było to ni błaganie, ni groźba, ni skarga, ni modlitwa...

— O Panie, wołał, gdzieś jest? Rzekł mi rozum iż istniejesz, jeno Cię mózg mój pojąć, ni oczy dojrzeć nie mogą. Ale Cię pragnę, Panie Wielki, ale Cię łaknę, jak usta pożywienia i napoju. Więc oto wziąłem ten kij do ręki i w świat poszedłem — by Cię naleźć.

Szukam Cię jako matka swego dziecięcia, jak nurek perły, jak ptak miejsca na założenie gniazda... Jako kwiat słońca, a dusza ludzka spokoju i miłowania...

Oto od wielu, wielu lat błądzę po górach i dolinach, szukam Cię Duchu, Mocny, a najść nie mogę. O Panie, objaw mi się w Swej Potędze, spraw niech Cię ujrzę, niechaj Ci wszyscy, którzy kłaniają się przez nich uczynionym bałwanom, — upadną w proch przed Tobą, niechaj poznają Stworzyciela i Pocieszyciela.

Insi zaś twierdzą, że Cię niema, żeś jest majakiem tylko chorej wyobraźni, żeś jest potrzebą, utęsknieniem, wieczystem kłamstwem duszy ludzkiej...

Onych pycha niech starta będzie, niech jej bluźnierczy głos zmilknie przed Tobą, jako szczekanie psa milknie na srogi zew pana...

O Panie, objaw mi się, Duchu Stworzycielu, zegnij mą głowę ku ziemi, Stopę Swą postaw na karku moim.. Spraw niech Cię poznam, niechaj Cię ujrzę i pokocham' rozgorzej w sercu mojem, jako szkarłatne kwiecie goreje w puszczy.

O Panie, Panie, gdzieś jest? Spraw miłosierdzie Twoje nademną, spraw cud, niech przejrzę, niech wiem, kędy Cię szukać, by naleźć i uczcić.

Żem z duszy całej miłował piękno, żem je ukochał ukochaniem wielkiem, więcem się zwrócił najprzód ku towarzyszom-twórcom; pytałem się poetów i rzeźbiarzy zali nie wiedzą w jakiej świata stronie napotkać Cię mogę. A oni mi rzekli z uśmiechem, iż Twym kościołem jest sztuka, iż mieszkasz w czystości linji, w spiżowym dźwięku słów, w harmonji barw i tonów... A także wszędy na ziemi i na niebie, w listowiu młodem drzew wiosennych, w zimnym blasku gwiazd, w zapachu kwiecia polnego, w glebie rozgrzanej słońcem i groźnym wichru poszumie...

Szukałem Cię tedy wokół siebie, lecz nie znalazłem, choć Ducha Twego czułem w tem życiu przyrodzenia. Lecz głębi Twej Mądrości, lecz Twej Istoty niebieskiej nie ujrzałem. Nie ujrzałem, bom kochał jeno kształt, ale nie ducha widzialnego Piękna, bo jeno zmysły moje, a nerwy artysty rzucone były o ziem, w bałwochwalczem uwielbieniu natury.

Szedłem za Tobą, Panie, w mroczne ostępy leśne i w uroczyska niebosiężnych skał... szukałem Cię na morzu szmaragdowem i w złotych piaskach pustyni... Całowałem mchów aksamity i kłośne snopy żyt, brałem komunję z kielichów lilij polnych, sasanek dzikich róż...

Rosą poranną i ciepłym deszczem zmywałem pył moich przewin... Tchnienia wiatru, błękitne opary łąk' i złote blaski słoneczne niosły ku Tobie, Panie, hymn modlitewny moich warg... Szukam Cię w trawach i ziołach leśnych, w świergocie ptasząt, w zorzy porannej... Szukałem Cię w barwie, w linji, w dźwięku i w słowie, szukałem Cię w pięknie natury i sztuki, — szukałem — i nie znalazłem.

Insi powiadali, że to u krat klasztornych, u grobów świętych, a w pustelniczym żywocie napotkam Cię, Panie. Ale tam była jedynie suchość myśli, egoizm i obłuda...

Rzekli rycerze, iż mieszkasz w chrzęście oręża, w walce za wiarę i wolność Ziemi Świętej, — poszedłem tam, ale Cię nie nalazłem w żołnierskich szeregach.

A insi jeszcze uczyli, że to w zaciszu domowem szukać Cię trzeba... W codziennej, szarej pracy, w warsztatach, fabrykach i na roli... Przy karczowaniu puszcz, połowie ryb, stawianiu domów lub siejbie chleba...

Nie, i tam Cię niema, Panie. Widziałem jeno bunt, klątwy a narzekania, nieszczerość a upodlenie.

Więc zapytałem prostaczków, tych dusz maluczkich i pokornych, mających łaskę Twoją, dla ich pokory. Zapytałem: rzeknijcie, naleźliście Pana? — Odpowiedzieli mi, żeś jest u krat konfesjonału, żeś na ołtarzach świątyń, w ziarnach różańca i pacierzach. Byłem tam i nie widziałem, chłód jeno spłynął na głowę moją z kościelnych sklepień i ołtarzy.

Więc uprosiłem o radę uczonych mędrców, filozofów i teologów, a oni mnie zapewnili, że znajdę Cię w pożółkłych skryptach, w świętych nakazach i pismach. Poszedłem do bibljotek i wertowałem foljały starych ksiąg. Przez długie lata wciągałem w płuca pył archiwów, odczytywałem z trudnością te pisania, uczyłem się, szukałem w nich mądrości, szukałem Ciebie, Panie, ażem utracił światło oczu moich, jedną zyskawszy tylko wiadomość, — że Cię tam niema.

O Panie! Panie gdzieś jest? Po latach trudu i walk, daj mi się ujrzeć.

Oto zagasły oczy moje i włos pobielał, członki mam pokrwawione w tej wędrówce, a serce moje słabnie. Steranym, Panie, i nędzny bardzo, i bardzo łaknący.

Okaż nademną Swe miłosierdzie, bo choćbym wieczność całą także wędrował, a miłosierdzia Twego nie miał, niczego nie dokonam.

I ślepy człowiek błądził po polach zasnutych gęstą mgłą... Wznosił ku niewidzialnym dla niego chmurom otwory swych martwych oczu...

Potykał się o ostre, polne kamienie, kaleczył się o ciernie, rozrywające mu szaty. Bo kraina była cierniami zarośnięta, ostem skrzydlatym, a złą pokrzywą palącą stopy wędrowca.

Lecz ślepy człowiek zaciskał jeno kosztur w rękach i błądził dalej poomacku, z wyciągniętemi w pustkę ramionami...

Głusząc rozpaczną modlitwą bunt nim targający, błądził w utęsknieniu i w męce...

— — — — — — — — — — — — — —

Po polach, rozzłoconych słonecznym pożarem, szedł człowiek o jasnych oczach. Z głową wzniesioną, postępował raźno i pewnie naprzód, nie zważając na ostre, polne kamienie, oraz na ciernie, rozrywające mu szaty.

Bo choć kraina była cierniami zarośnięta, ostem skrzydlatym, a złą pokrzywą, człowiek o jasnych źrenicach zda się nie widział zgoła onych przeszkód, nie widział krwi, opływającej mu stopy.

Szedł zapatrzony w ogromną dal błękitną, a wargi jego poruszały się jakimś szeptem przedziwnym, niby modlitwą dziękczynną, śpiewaniem wielkiem, a radosnem.

— Panie, wołał, przejrzałem, widzę Cię. Twe miłosierdzie spadło na mnie, spojrzałeś na martwe moje źrenice i oto bielmo z nich opadło, ujrzałem światłość. Miłosierdzie Twoje jest nieprzebrane jako ocean szafirowy, jak złoty bezmiar pustyni... jak nieskończoność drogi mlecznej, srebrzącej się w błękicie.

— Niech będzie uwielbione Imię Twoje...

— Niech będzie błogosławiona godzina, w której Cię odnalazłem...

— Otom wędrował od wielu, wielu lat, błądząc w szukaniu Ciebie; świat cały zszedłem nadaremno... Ale wierzyłem żeś jest i że Cię napotkam... i oto stał się cud.

— Gdy dnia pewnego, utrudzony wielce wspinaniem się pod górę, przysiadłem na miękkich trawach leśnych, ciepło słoneczne zaczęło przenikać mnie aż do kości, promienie rozświetliły źrenice moje nieruchome...

— I niby kierz ognisty rozpłomieniło się serce moje, źrenice stały się światłobiercze, zobaczyłem pod stopami mojemi dolinę pełną szmaragdowych jodeł, najeżoną białemi skałami wapnia, pohaftowaną złotem słonecznych promieni. Łaska Twoja spłynęła w onej chwili na moją głowę i sprawiła to, czegom ja sam sprawić nie mógł przez długie lata męki.

— Nademną głaz olbrzymi o bladej, nieruchomej twarzy Sfinksa, poglądał milcząco w błękitną dal krainy...

— Jodły wznosiły zielone głowy ku przeczystemu niebu...

— Ptaszęce głosy pogwizdywały w puszczy...

— Po przez dalekie pola oracze, cisi pracownicy chleba, trudzili się w pocie czoła na roli...

— Na horyzoncie majaczyły zarysy wielkiego, starego grodu...

— Paliły się złotym ogniem miedziane dachy świątyń, klasztorów i uczelni...

— Na poblizkiem wzgórzu strzelały w niebo wieżyce Białego Kościoła...

— Strumień, ukryty w trawach, mamrotał srebrzyście po kamieniach...

— Ostrężyny siniały na krzach, a wielkie, srebrne osty bieliły się na mchowej pościeli...

— Pod rozłożystym jaworem dwa maleńkie, jasne źródełka bulgotały żywliwie w złotym piasku...

— Słońce, życiodajny pan świata, toczyło się po niebie...

— Błękitne główki gencjan uśmiechały się z traw...

— Jam w onej chwili pojął wszystko, czego nauczyć mnie nie zdołały ni pisania mędrców, ni mowy teologów, ni duch ołtarzy i pustelni...

— Ni poznanie sztuki, ni prac rozlicznych, ni ziem nieznanych...

— Pojąłem i upadłem na kolana, wielbiąc Cię Panie...

— Wielbiłem Cię w tem niebie czystem i słonecznem...

— W dalekich polach, dłonią ludzką uprawianych...

— W białych wieżycach kościoła...

— W płonących, miedzianych dachach świątyń, klasztorów i uczelni wielkiego grodu...

— W milczącej twarzy zamodlonego Sfinksa...

— W potoku, bełkocącym po kamieniach...

— W ptaszęcych głosach, pogwizdujących w puszczy...

— W czystych źródełkach z pod olbrzymiego jaworu...

— W szafirowych gencjanach, tulących się do traw...

— ...I w duszy mojej, odbijającej niby soczewka wszystkie promienie tego poranku, — uwielbiłem Cię Panie.

— Bo miłosierdzie Twoje spłynęło na mnie, iżem był ułaskawiony.

— Bom przejrzał i pojąłem, że nie potrza mi Cię szukać po świecie szerokim — by znaleźć.

— A uczcić i ukochać mogę o każdej godzinie żywota mego, w każdem miejscu, w każdem ze stworzeń Twoich, w każdej pracy i myśli, w każdem dobrem czuciu.

— Wielbi dusza moja Pana...

— I rozradował się duch mój, w Bogu, Zbawicielu moim...

— Iż wejrzał na nizkość sługi Swego...

JANINA LASOCKA

Zaskrodzie. Wrzesień 1926 r.

BŁOGOSŁAWIENI UBODZY

(OPOWIEŚĆ PALIJSKA)

Czcigodnej Pani Zofji Ostrowskiej poświęcam

Lecz, gdym się obejrzał na wszystkie sprawy moje, które czyniły ręce moje i na prace, którem podejmował pracując: oto wszystko marność, i utrapienie ducha,

Ekklezjasta II; 11

I

Gdy odbieżca Siddartha, Jasodary pan,
troistą wieścił perłę i roztęczał w cuda,
za dni onych, w Keszramie, osławion i znan
z nieokiełznanej pychy, królował Wayuda.

A—zaprawdę—odzierżył wśród birmańskich ziem
najmniejsze z księstw dziedzicznych i — o Tathagata! —
oddawszy oczy Maji, w zachwyceniu złem
najpotężniejszym zwał się i władyką świata!

Lecz w gaju atłasowym narodzony Mnich
rozpoznawał niemylnie z znaków niepojętych,
że Wayudę przywiedzie przez tę pychę pych
do ciszy i ubóstwa swoich bikszów świętych...

II

Grzmią trąby na podwórcach! Jak promienny zwid
z dali poza rubieżą tęsknot rozpostartej,
z czarnymi pajukami, na słoniach, wśród świt,
siedmiu zjeżdża wysłańców możnego Siddarthy.

Zasiadł w komnacie złotej i przyjął ich Król.—
błyszczy u jego tronów tłum świetny i strojny—:
upadłszy na posadzki, w szachownicę z pól
kładzione lazurowych, głoszą, że Dostojny,

Swiatowładny Siddartha, na którego zew
posłusznie stają dewy i któremu wznasza
bogów miłość pałace, Sakya — Simba, Lew,
Keszramczyka Wayudę w gościnę zaprasza!

III

Wznosi się, wieżycami dosięgnąwszy chmur,
słonecznym patrząc blaskiem na święte ostrowy,
potysiąckroć wspanialej, niż Keszramu dwór
szlachetnego Siddarthy dom z kości słoniowej.

Mąż we wspaniałych szatach wystąpił przed próg—?
nie król to, o Wayudo, lecz jego odźwierny...—
ów, któremuś bił pokłon? Również z pańskich sług
najlichszy, namiestnikiem jest straży rycernej...

Więc stropił się Wayuda i przechodzi w głąb
pałaców, wraz ogarnia go lęk i zdziwienie.—
I uderzył weń — nagle — potężnie głos trąb:
Na twarz padnij przed Wzniosłym, wielkim nieskończenie!

IV

„Jam Siddartha—Gotama, Buddą zwan, król cnót,
władny, wszystkowiedzący i ubóstwem święty!—
Dziecię moje! Ten w perle wydzierzgany gród,
te bezcenne dworzyszcza, ten skarb nieobjęty

„stały się na zaklęcie moich twórczych słów,
nie bym cię miał poniżać, myślący wspanialej,
lecz, abyś się nauczył... O Wayudo! Mów:
zali się blask Keszramu równa takiej chwale?!

„A jednak ja, zarówno jak ty, radżów kwiat
ani śmiejmy się pysznić dla bogactw padolnych,
ni ślepnąć w ogniu Maji, którym płonie świat,
gdy szczęście jest wiecznością dusz od złudy wolnych..."

V

„Więc zanim rozpoznałem Prawdę Skarbów Trzech,
nim się we mnie Trójlśniąca objawiła perła,
w lubieży, oddan żądzy, która płodzi grzech,
żyłem wśród szczepu Sakyów, królewic ich berła.

„Aleć silniej nad rozgrzmot witeziowych chwał,
głośniej niźli asawy, bytu osmętnice,
przemożniej, niźli chucie i rozkosze ciał,
wezwały mnie ku puszczom myśli-samotnice!

„I oto wiem, że przepych, Maja, którą czcisz,
niszczeje i zostawia gorycz i cierpienie.
Wayudo! Otwórz oczy, bierz dziedzictwo cisz,
które z nad Najrandżary niosę — Ukojenie"!

VI

Wzniósł źrenice Wayuda: znikł królewski szych,
zmienił się dwór wspaniały w dziedziniec klasztorny,
miast możnego Siddarthy stoi wzniosły Mnich
w żółtem gieźle żebraczem, bosy — i pokorny.

Poświatą księżycową mieni się krąg ław,
dokoła murów mnisi zasiedli na głazy,
albo, gędząc półgłosem, leżą wpośród traw
i jasnem patrzą okiem na gwiazdy bez skazy.

Figowce ocieniają monasteru próg,
poszumny dąb wysrebrza swą odwieczną postać,—
Łkając radża Keszramu padł Buddzie do nóg:
„Błogosławiony! Zwól mi przy tobie pozostać"!

JANUSZ KAWECKI

PRZYPISKI. Język palijski, pahli, jest klasycznym djalektem, którym posługują się mieszkańcy olbrzymiej połaci południowych Indyj oraz Cejlonu, Birmy i Sjamu. Literatura w tym języku składa się prawie wyłącznie z tekstów, dotyczących żywota wielkiego religijnego reformatora Siddarthy Gotamy (Buddy), który „na pięć z górą stuleci przed naszą erą dał Indjom prostą i szlachetną wiarę buddyjską".

Niepozbawiony pewnej cudowności epizod z żywota Buddy stanowi treść niniejszej opowieści: czarem swej nieziemskiej osobowości i wzniosłością swej nauki sprawia Siddartha, iż rozmiłowany w bogactwach, pyszny król Wayuda staje się ubogim mnichem buddyjskim.

Troista Perła—tiratna — tak nazywają buddyści swoją religję, której trzy perły to: Budda, jego nauka i gmina buddyjska;

Siddartha—imię Buddy, oznaczające tego, „który spełnił swe zamierzenie";

Jasodara—przez Buddę, idącego za głosem świętego i samotniczego powołania, opuszczona małżonka;

Keszram—kraj w Birmie (Indo-Chiny);

Tathagata—Doskonały;

Maja—ułuda;

biksze—żebrzący mnisi Buddy;

Sakya-Simha-lew — ze szczepu Sakyów;

Asawy — grzechy: rozkosz zmysłowa, pragnienie życia, ułuda i nieznajomość czterech szlachetnych prawd buddyjskich;

Najrandżara — nazwa rzeki; nad brzegiem Najrandżary rosło święte drzewo BO—drzewo mądrości, w którego cieniu spędził Budda wiele godzin na podniosłych rozmyślaniach.

LIBERUM VETO

Nowe archiwum. — Ciekawa lektura dla przyszłych pokoleń. — Nowe poprawne wydanie słownika polskiego. — Pomnik dla kawałka mięsa. — On, Jego, Jemu. — Świeże libretto dla operetki. — Bezwstydna drożyzna.

ARCHIWUM numerów pism skonfiskowanych za artykuły, niedozwolone przez warszawski komitet cenzury, zbogaciło się podczas ostatnich tygodni obfitym materjałem. Można z tego cieszyć się szczerze. Te bowiem dokumenty, kiedyś ogłoszone, nie tylko stanowić będą bardzo ciekawą lekturę dla następnych pokoleń, ale dostarczą historykom barw do odmalowania obrazu swobody słowa publicznego w „najradykalniejszej" rzeczypospolitej polskiej podczas „prawdziwie demokratycznych" rządów. Trzeba przyszłość obsłużyć i zaprowadzić dla niej dostateczną ilość oświetlających informacyj, gdyż bez nich nie odnalazłaby ona prawdy w ciemności i błocie obecnej pory historycznej. Moje artykuły ulegają dość często konfiskacie; jestem za to wdzięczny warszawskiemu komitetowi cenzury, gdyż on mimowoli wystawia mi świadectwo, że spełniam należycie obowiązek obywatelski i publicystyczny. A o rezultat walki jestem spokojny, bo — jak słusznie ktoś powiedział—najgroźniejszym przeciwnikiem jest męczennik.

Ta walka między obecnym rządem a ogromną większością społeczeństwa toczy się głównie o słownik moralno-polityczny. Rządzący dziś w Polsce uczestnicy i zwolennicy „majówki" chcą nadać pewnym wyrazom całkiem inne znaczenie, niż im od wieków przyznaje polska mowa w zgodzie z ogólną-ludzką logiką i etyką. Najostrzejszy spór obraca się około wyrazów: „sanacja moralna", „demokratyzm" i „prawo". Dotychczas przez „sanację moralną" w organizacji państwa pojmowano oczyszczenie urzędów z ludzi złych i nieudolnych, a nie zastąpienie dobrych i zdolnych faworytami; przez demokratyzm—usuwanie przywilejów klasowych i samowoli osobowej; przez prawo — ścisłe wykonywanie ustaw a nie bezprawie. Toż samo powtarzają ministrowie na swych koncertach deklamacyjnych (*exposés*), ale czyny nie odpowiadają słowom. „Przeszło sto lat — mówi Kubala w jednem ze swych studjów historycznych — począwszy od XVII w., język rządził niemal wszechwładnie Rzeczypospolitą, królów z tronów zsadzał, wojska by największe niszczył, fortece najmocniejsze zdobywał... występkiem się brzydził, nad wszystko kochał ojczyznę, dla niej wszystko robił, o jej szczęście i sławę się starał, piersi swe za nią nadstawiał... najpotężniejszych nieprzyjaciół nieustraszony rozpraszał i gromił". Czego język, ten wielki bohater, wódz, dobroczyńca, reformator, patrjota, karciciel występku, obrońca cnoty, nam nie obiecywał, nie zapowiadał, nie ślubował! Uroczyście przysięgał, że da praworządność, wolność,dostatek—wszystkie dobrodziejstwa, jakie Amalteja posiadała w swym rogu obfitości. Bohomolec dziwił się, że temu „kawałkowi mięsa" nie wystawiono pomnika. Gdyby go miano tym symbolem uczcić dzisiaj, należałoby odlać w bronzie lub wykuć w marmurze postać jednego z najznakomitszych ludzi w Polsce, b. ministra i nieocenionego posła Zdziechowskiego, zbitego przez umundurowanych zbirów za to, że śmiał krytykować niektóre pozycje budżetu państwa. Ten ohydny czyn jest nie tylko zbrodnią, ale także symbolem, nieznanym historji żadnego narodu. Bo takiego języka i takich czynów nie posiada żaden.—

Czas obecny odznacza się tem, że w nim wszystko jest możliwe i że niczemu dziwić się należy. To też nieuzasadnione jest zdziwienie, że część monarchistów przeszła do obozu piłsudczyków. Obóz ten bowiem jest monarchiczny już nawet nie w stylu europejskim, ale azjatyckim. Takie bałwochwalcze wiernopodobieństwo, które wyrzeka się własnej myśli i woli, które najlżejszą krytykę świętej osoby najjaśniejszego pana uważa za zbrodnię, które odnoszący się do niego zaimek osobisty we wszystkich przypadkach deklinacji drukuje wielką literą (On, Jego i t. d.) musi się podobać pewnemu gatunkowi monarchistów. Poczekajmy, a wkrótce kult „czynu" rozpostrze się po wszystkich stopniach hierarchji urzędowej. W powieści pisarza rosyjskiego Gonczarowa („Zwykła historja") pamiętający o „czynach" bohater tak tytułuje swój list: „Najukochańszy i najlepszy wuju a przytem wasze prewoschoditielstwo". Może już dziś taka korespondencja odbywa się między naszymi „radykalnymi demokratami". Ciekawa rzecz, czy rzetelni socjaliści spożywają ze smakiem ten lewicowo-monarchistyczny bigos hultajski, przyrządzany w prasie przez płatnych kucharzów? Przypuszczam, że czują do niego wstręt. A zresztą... kto określi, jakiej barwy jest kameleon?

Sprawozdawcy teatralni narzekają, że świeże operetki mają liche libretta i lichą muzykę. Co do muzyki sprawa jest trudna, bo wymaga talentu, ale co do libretta mamy niewyczerpaną kopalnię oryginalnych wątków w naszem obecnem życiu. Zważmy tylko: powstaje nowy gabinet ministerjalny, tworzony rękami, które głównie uzbrajały się przeciwko caratowi rosyjskiemu, dotąd go przeklinają a przytem niemiłosiernie tępią w organizacji wszelkie postacie konserwatyzmu; do tego gabinetu te same ręce wprowadzają skrajnych konserwatystów i hołdowników caratu, a obok nich skrajnego socjalistę. Ponieważ pomimo całej bezceremonjalności w sanacji potrzebne są jakieś, bodaj przejrzyste pozory, więc odegrano nadzwyczaj wesołą farsę połączenia ognia z wodą. Odbywały się sceny przepysznego humoru. Socjalista wszedł do rządu upoważniony i nieupoważniony przez partję, z jej wolą i bez jej woli, — a przytem — odprawiono tyle narad i wydano tyle uchwał, zużyto tyle pracy wykrętnego języka na sofistykę, że zebrał się materjał, który wystarczyłby na libretta do kilku operetek. A tymczasem prawda wygląda bardzo prosto: handlarze polityczni kłamią, szachrują, wystawiają w oknach swych sklepów produkty fałszowane, a wrzaskiem i namową chcą przekonać ogół, że są najuczciwszymi i bezinteresownymi dobrodziejami.

Jednem z najcharaktystycznych znamion zwierząt i ludzi na nizkim poziomie kultury jest brak wstydu. Barbarzyńca, jak pies i wół, przyłapany na złym czynie, poddaje się karze, ale nie czuje się wcale zawstydzonym. W nadzwyczajnej mierze brak ten objawił się w prasie „sanacji moralnej". Szerzy ona świadomie potwarze, kłamstwa, zmyślenia, nie mające najmniejszego oparcia w rzeczywistości, a gdy fałszerstwa jej języka i pióra zostaną stwierdzone dowodami, zachowuje się jak krowa, robiąca szkodę w cudzym ogrodzie lub małpa wypłoszona z cudzej winnicy — milczy, jeśli zaś czem zdradza ludzką naturę, to tylko śmiechem ze swojej psoty. Rumieńca nie zna, jak go nie zna dziki papuas lub botokud schwytany na kradzieży. O jakże zmieniły się czasy i ludzie! Niedawno jeszcze publicysta przekonany o kłamstwie, alboby się szczerze przyznał do winy, alboby starał się ją usprawiedliwić. Dziś wcale nie zadaje sobie trudu obrony fałszerstwa, bo ono mu wcale nie przeszkadza nazywać się pisarzem poważnym i sumiennym, a nawet być wicemarszałkiem sejmu lub ministrem.

W hasłach „sanacji moralnej" mieściła się obietnica usunięcia drożyzny, przeznaczona dla najuboższych warstw ludności, znękanej tą plagą i oczekującej zbawienia od nowych ratowników. Co się stało z tą wielką gruszką na wierzbie, widzimy: drożyzna już nie posuwa się ale

skacze. Dla spętania jej wydobyto stary, zupełnie przez nią dawniej porwany sznur zakazów i kar administracyjnych. Jest to środek podobny do zabiegu, jak gdyby kto chciał leczyć wrzód rozpalonem żelazem. Już oglądaliśmy skutki tej operacji. Nasz organizm państwowy jest chory i żadne żelaza rozpalone do białości w kuźni administracyjnej wcale go nie uzdrowią. Tu potrzeba rozumnego i na prawie opartego rządu, któryby w swych zamiarach i czynach kierował się wyłącznie dobrem ogółu, nie uzależniał się od jakiejkolwiek partji lub osoby i posiadał zaufanie ogółu; tu potrzeba współdziałania całego społeczeństwa; słowem, tu potrzeba, ażeby rząd był zaufanym i sprawnym organem narodu, a naród całem uzdrowionem, czynnem wszystkiemi siłami pobudzonej do życia i twórczego działania energji. Awantury przewrotowe, zemsty i fawory osobiste, przetasowywanie urzędników, bizantyjskie pokłony i służebne usługi najmitów — to jest rozświecanie ciemności pocieraniem zapałek, które ciągle gasną i których pudełko wkrótce się wyczerpie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

W DZIEŃ ZADUSZNY

Lubię nawiedzać myślą to ustronie,
Gdzie ty, braciszku, wieczny masz spoczynek;
Pośród stokroci i niezapominek
Tam leżysz senny...
Nad tobą czuwa biały krzyż kamienny...

Las ci pobliski szmery śle i wonie;
Nad tobą brzoza wstrząsa swe warkocze,
Ptak — co odlata — piosenkę szczebiocze,
Rozwodzi żale...
Ty leżysz cicho i nie słuchasz wcale...

Pomnę, jakeśmy na święto Zaduszek
Grób twój wieńcami przychodzili kwiecić
I na nim światło umarłych zaniecić:
Blady kaganek,
Co pełgał mgławo wśród barwnych równianek.

Matka mówiła cicho: „Ten kwiatuszek
Umarł przedwcześnie, nie zaznawszy świata;
Dziś jest aniołkiem, koło Stwórcy wzlata
W słoneczne blaski;
Zmówmy za niego — Zdrowaś pełna łaski...".

Wtedyśmy rączki nabożnie składali
I koło małej mogiłki uklękłszy
Modliliśmy się w cichości największej
I ze łzą w oku
Za brata... co nam nie był znan z widoku...

Dzisiaj na grób ten spoglądam z oddali
I zbiegłe lata przypominam sobie...
Czy kto się modlić będzie na mym grobie
I kto zapłacze,
Gdy na obczyźnie dni skończe tułacze?...

JÓZEF BIRKENMAJER

(Syberja 1917)

GŁOSY

W JAKIM CELU?

PANI Iza Moszczeńska zastanawia się w „Kurjerze Warsz". (Nr. 202) w jakim celu był dokonany przewrót majowy. Pytano się o to nazajutrz, ale i teraz po półrocznych doświadczeniach, i to ciężkich, nikt nie umie na to odpowiedzieć. Nikt nie wynalazł logicznego klucza do tej „krzyżówki". „Całe życie w Polsce składa się z samych zagadek i wprowadza same niespodzianki". Autorka skłonna jest szukać odpowiedzi w psychologji lekarskiej. „Czasem to, co poczytujemy za czyn, jest tylko gestem, odruchem, wyrażającym nie intencję, lecz nastrój, nie wolę, lecz skurcz mięśni, który może być także wstrząsem, spazmem, drgawką".

Niejednokrotnie już — powiemy na to — sprawę tak stawiano, ale robiono to wbrew logice dziejów, która nie uznaje przypadków. Najmniej możemy się dowiedzieć o celach od tych, co najgłośniej krzyczą. Jedno jest tylko widoczne, że radykalni zwolennicy przewrotu, domagający się „pogłębiania rewolucji", korzystają tylko z wypadków dla swoich celów, ale że ich cele nie pokrywają całkowicie celów przewrotu. To miejsce niepokryte zajęły inne żywioły — już z prawicy — których cele pokrywają resztę.

Całość pokrycia jest bardzo interesująca. Nie zrozumielibyśmy jej, gdybyśmy chcieli informować się w „Głosie Prawdy" lub n. p. w pisemku „Przełomie", wydawanem przez Związek Naprawy Rzplitej. Ten organ „popsujów" wyjaśnia rzecz tak (Nr. 19):

> „Szereg grup, zawieszonych dotychczas w powietrzu, pozbawionych oparcia w masach, zrozumiał, że jest to być może ostatnia chwila do wypłynięcia na powierzchnię. Stąd w obozie przewrotu znaleźli się ludzie i całe grupy, które widząc, że trzeciego wyjścia niema, zdecydowali się pójść tam, gdzie ich nie przyjmą wprawdzie z otwartemi rękoma, ale ich nie wyrzucą. Ale — pociesza się „Przełom" — na trwałe w nim nie pozostaną, bo pozostać nie mogą. Po pierwszych tygodniach i miesiącach dezorjentacji zacznie się drugi proces wewnątrznej selekcji tego t. zw. obozu majowego"...

Widzimy więc, że obóz majowy składa się z dwu grup: tych co przewrót sobie przypisują i przybłędów. „Drugi proces selekcji" usunie przybłędów, umocni pierwszych.

— „I tego tworzącego się nowego obozu majowego rzekomo nie widzi prawica"—skarży się „Przełom".

— Owszem widzi. Ale któż wy jesteście, jakie są wasze cele — pytamy.

> — „Obóz majowy — odpowiada „Przełom" — to obóz stałej, nieustępliwej i wytrwałej walki. Jego zaczątki i fundamenty zrodziły nie sejmowe kuluary i zacisza gabinetów, ale odgłos strzałów. Ci co zawsze walczyli dawniej z wrogiem i z biernością własnego społeczeństwa, później z wrogiem tylko, dziś znowu stanęli do walki. Będąc na moście w dn. 12 maja nie oglądali się wstecz... Wierzyli, iż trzeba (z narodu) wydobyć maximum twórczych sił, które były i są, ale którym nie dała wyjść na powierzchnię przeszłość. Wierzyli dalej, że siły te trzeba ująć w karby dyscypliny społecznej i t. d.

I kończy: „Powiecie, że to są frazesy? Przekonamy was, że tak nie jest". I znowu nic nie wiemy, bo to tylko są frazesy, których ktoś nauczył, jak się uczy szpaka. Albo szczyt filuterji, wyglądającej na udawanie głupiego. Na wypadek gdyby ta zabawa jakaś miała być na serjo celem, ta druga grupa, obawiająca się oczywiście „selekcji" (sanacja drugiego stopnia), musi się śpieszyć ze swojemi celami. Widzimy też, że się kręci i nie wiele mówi, pozwalając czerwonym gadać jaknajwięcej i... psocić.

Oczywiście te dwie grupy same się nie wiążą z sobą, tylko je ktoś umiejętnie kombinuje, ktoś mający

wpływy w obu. Wiemy tyle, cośmy wiedzieli już w maju. W dn. 16 maja organ urzędowy przewrotu pisał, że nowy kurs „czerpać będzie swą siłę na wewnątrz (mniejszości) i nazewnątrz (polityka zagraniczna) z niewyczerpanej krynicy moralności w stosunkach międzyludzkich i międzynarodowych...“ Myśmy to zrozumieli i odpowiednio komentowali (Nr. 22) odrazu. Wszystko inne, co się gada, nawet krzyczy, to tylko tumanienie i odwracanie uwagi.

ZAMORDOWANIE KURATORA SOBIŃSKIEGO

Od jednego z wybitnych znawców stosunków kresowych otrzymaliśmy następujące spostrzeżenia i uwagi:

ZAMORDOWANY przez ukraińskich skrytobójców padł najwybitniejszy bezwątpienia kurator, ś. p. Stanisław Sobiński. Czyż do zbrodni tej nie rozzuchwalił nieświadomie morderców ten, który z ukraińcami i wogóle z wszelkiemi mniejszościami nieustannie w sprawach szkolnictwa konferował, zachęcał do energicznych wystąpień o szkoły niepolskie, upoważniał do wnoszenia podań o szkoły niepolskie do rąk własnych z pominięciem inspektorów szkolnych i kuratorów, przez co dał mniejszościom wyraźnie do poznania, że w nim mają protektora i rzecznika, a w kuratorach czynnik, hamujący ruch wolnościowy ukraiński i białoruski? Ludność ukraińska poczęła w kuratorze Sobińskim upatrywać zaporę w swych dążeniach, aż znaleźli się „rezuny“, którzy go usunęli. Zaślepiony i uparty doktryner p. Sujkowski nie spodziewał się, że takie fakty nastąpią po kilku miesiącach jego nieudolnej, nieliczącej się z realnemi warunkami życiowemi działalności.

Myliłby się jednak ten, ktoby sądził, że na polu szkolnictwa jedynie we wschodniej Małopolsce tak fatalne pod każdym względem zapanowały obecnie stosunki. Nie lepiej dzieje się i na północno-wschodnich rubieżach Państwa. W województwie nowogródzkiem bierna do przewrotu majowego ludność białoruska, dziś podniecona bezkarną agitacją i zachęcona nieprzemyślanemi pociągnięciami p. Sujkowskiego, zaczęła natarczywie domagać się szkół białoruskich, wszczęła w wielu punktach jawny bojkot szkoły państwowej, szykanuje nauczycieli Polaków i urządza wraz z młodzieżą szkolną pochody manifestacyjne ze śpiewami komunistycznemi i antypaństwowemi okrzykami. Ministerstwo oświaty, choć niewątpliwie poinformowane, przypatruje się tej akcji bezradnie i bezczynnie, a generał - lekarz, obecnie Minister Spraw Wewnętrznych, nie podejmuje dotąd żadnej walki z szerzącą się anarchją. Doszło do tego, że nauczyciele na kresach częstokroć całemi tygodniami nie opuszczają swych mieszkań w obawie o życie, ludność miejscowa odmawia im sprzedaży wiktuałów, szkoły stoją nieczynnie, przed szkołami przeciągają tłumy dziatwy, cynicznie hałasującej na widok nauczyciela i szkoły, a starsi drwią z bezsilości i słabości władzy państwowej. Cynizm dochodzi nawet do tego stopnia, że gospodarza białorusina, który z bawiącym we wsi inspektorem szkolnym wdał się w rozmowę, ludność po wyjeździe inspektora obiła do krwi za pertraktowanie z przedstawicielem władzy polskiej. Stosunki w Państwie zarysowują się w barwach coraz bardziej ponurych, a miłujący kraj swój obywatel ugina się pod brzemieniem bólu, szarpiącego nerwy, mózg i serce polskie. Bezkarnie uszedł bandycki napad na posła Zdziechowskizgo, byłego ministra skarbu, sprawcy napaści dotychczas nie zostali odnalezieni. Czyż nie zachęca to różnych luzem chodzących zamachowców do aktów terroru, sabotażu i zbrodni?

Rezolucja ostatniego zjazdu rady naczelnej P. P. S. wyraziła uznanie rządowi „sanacji moralnej“ za „oczyszczanie wojska, skarbu, oświaty i administracji z żywiołów przeciwpaństwowych“. Czy tymi przeciwpaństwowcami są w dziedzinie oświaty: były minister Łopuszański, kuratorowie Sikora, Stach, którzy zdarli się w umiłowanej przez się pracy dla dobra szkoły polskiej i Narodu?... Jednakże usunięcie tych „przeciwpaństwowców“ dla P.P.S. nie wystarcza. „Rada naczelna oczekuje dalszej radykalnej pracy oczyszczającej we wszystkich innych działach administracji“.

A jednocześnie kula terrorysty ukraińskiego przeprowadza „oczyszczenie“ na swój sposób, w myśl tajemnych planów i celów...

PEREAT SCHOLA—FIAT DOCTRINA!

SŁYSZYMY, że obecne Ministerjum Oświecenia postanowiło przeprowadzić w czasie najbliższym zasadę t. zw. „jednolitości szkoły“, t. j. zniesienie trzech niższych trzech klas gimnazjalnych i zastąstąpienie ich przez obowiązującą szkołę powszechną. Nie chcę tu wchodzić w rozważania nad wartością pedagogiczną tego absurdu, niszczącego poprostu szkołę średnią, a zabójczego dla racjonalnego wychowania pokoleń przyszłych inteligencji polskiej. Chciałbym jedynie zwrócić tu uwagę na zgoła dziwne koneksje, jakie zachodzą pomiędzy takiemi poczynaniami u nas a—masońską agitacją na zachodzie.

Zasada „*de l'école unique*“ była przedmiotem 99 konferencyj w łonie lóż masońskich okręgu Paryża w czasie od stycznia do lipca r. 1924. Wszędzie przyjęto ją z zachwytem, jako „wyraz pojęć rewolucyjnych z r. 1789 i 1793“. Zasada ta bowiem ma „leczyć szczęśliwie rozbieżność kast i wpływać na jedność moralną kraju i zgodę społeczną“ (sanacja?!).

A więc takim mamutowym ideałom mamy dziś poświęcić przyszłość polskiej szkoły średniej, z takim zbudowanej trudem! Zauważyć należy, że za „jednolitością szkoły“, jako za hasłem programowem, wypowiedziały się zgodnie zarówno „*Grand Orient*“ jak i „*Grande loge de France*“.

Przypuszczam, że genjusz Narodu Francuskiego zniesie, nie bez szkody oczywiście, i ten eksperyment szkolny. Ale nasze dopiero początkujące szkolnictwo, oraz wogóle sprawa wychowania przyszłych intelektualnych przodowników Narodu—napewno jeszcze dotkliwsze poniesie szkody wskutek bezmyślnego naśladowania demagogicznych masońskich wymysłów.

JAN TUR

PRZEGLĄD POLITYCZNY

SPRAWY WEWNĘTRZNE

ZAPOWIEDZI majowe nowego ładu i silnego rządu wciąż oczekują na realizację. Apolityczne szerokie masy z chwilą, gdy zdrożały znacznie ziemniaki i węgiel, utraciły wiarę w te zapowiedzi. Wzrastającą niecierpliwość okazują zwłaszcza heroldowie nowej ery, która nadejść nie chce, i w zdenerwowaniu wyszukują namiętnie zawadzającego rąbka u spódnicy. To ten to ów czarny charakter zostaje napiętnowany, jako zapora świetlanej przyszłości. I wylatuje jak z procy jakiś skromny urzędnik, który nie był zapewne tak wysokiego mniemania o wpływie swój osoby na losy państwa.

To przedświąteczne czyszczenie urzędów z elementu niepożądanego i nieprawomyślnego ma być przejawem siły i energji rządu. Sceptycy twierdzą wszakże, iż podobne efekty energji występują wówczas, gdy władza nie może zdobyć się na wewnętrzną siłę, wynikającą z jasnego

uświadomienia sobie zadań i środków do celu wiodących i z przyjęcia odpowiedzialności za zrealizowanie programu. Same zmiany personalne doprowadzić mogą do wyciągnięcia takiej nauki moralnej, jaką dał w znanym „Kwartecie" bajkopisarz rosyjski Kryłow.

Ludziom, którzy przychodzą do władzy z zapałem do radosnej twórczości, ale bez doświadczenia i przemyślenia zagadnień publicznych, te problematy wydają się niezmiernie proste. Tak nasi młodzi ustawodawcy, o ile im nie chodziło tylko o pozory, naiwnie sądzili, że ustawy mogą nakazać posłuszeństwo nieodpartym wymaganiom życia. Dzisiaj zwolenników nowej ery ożywia wiara, iż stosunki polityczne, społeczne, gospodarcze zmienia się hasłami, nazwami, gestami. Ale rychło musi się okazać, że zamachami administracyjnemi nie można zdusić drożyzny. Również doświadczenie poucza, że biurokracja pozostanie biurokracją z właściwemi jej wspólnemi w państwach współczesnych cechami, pomimo masowych zmian osobowych i groźnych okólników. Nowością może być tylko hasło niechęci i pogardy dla norm prawnych, jako pochodzących w dużej mierze z czasów zaborów. Tylko że państwo współczesne, cywilizowane, oparte jest na wykonywaniu prawa, co się przeto stanie z państwem, gdy twórczość urzędników zastąpi moc obowiązującą istniejących przepisów i gdy „luki" w prawie publicznem, czyli sferę wolności, zagwarantowanej obywatelom przez Konstytucję, zaczną wypełniać urzędnicy?

W poszukiwaniu przyczyn niepowodzeń, lewica obozu rządowego zdradza wzrastające niezadowolenie z istniejących form praworządności. Dlatego pociągają ją wzory obce, pozwalające na niekrępowanie się prawem przy sprawowaniu władzy. Jednocześnie wykazuje zainteresowanie się formą (nie treścią) donienawna tak zohydzanego faszyzmu, jak i rewolucyjnemi metodami bolszewizmu. Nie jest to wynajdywanie narzędzi, dla zrealizowania posiadanej skrystalizowanej idei, lecz szukanie sposobów, umożliwiających całkowicie zagarnięcie władzy bez potrzeby legitymowania się z jej użycia przed narodem.

Ale i drugieskrzydło obozu rządowego — monarchiści wschodniego obrządku, chociaż mu lewica zapowiada dwuznaczne rychłe odstawienie od wpływów na Rząd, widocznie pragnie przeprowadzić swoje plany. Dlatego zjazd ściślejszych ziomków w Nieświeżu wywołał duże zainteresowanie opinji publicznej. Zachowanie się „żubrów" w czasie wojny światowej uwydatniło rys charakterystyczny ich mentalności politycznej—utożsamianie interesów folwarków z interesem Polski. Winna się przeto wzmóc czujność społeczeństwa, aby fatalna w naszych dziejach przewaga żywiołu wschodniego przy nakreślaniu polityki państwa nie wystąpiła znowu w chwili obecnej.

B. W.

SPRAWY ZAGRANICZNE

NAJWIĘKSZĄ sensacją polityczną ostatnich dwóch tygodni był niewątpliwie manifest „przemysłowców, finansistów i ekonomistów Europy i Stanów Zjednoczonych". Sensacją dlatego przedewszystkiem, że wogóle został ogłoszony. Wprawdzie oddawna już było rzeczą wiadomą, że „*haute finance*", wielki kapitał międzynarodowy, umie wywierać wpływ na kierunek polityki światowej i naginać ją do własnych celów i planów. Ale dotychczas „złota międzynarodówka" działała raczwaj z ukrycia, posługując się różnemi „humanitarnemi" „internacjonalnemi", nawet socjalistycznemi organizacjami i hasłami. Pierwszy raz zdecydowano się wystąpić jawnie, bez przyłbicy, z niesłychaną pewnością siebie ogłaszając wszystkim i wszędzie, że rozporządzanie wielką ilością kapitału jest dostatecznem źródłem autorytetu... moralnego, aby sięgać po rolę sędziów i nauczycieli narodów. Czyż może być dowód większej pauperyzacji... moralnej?

Realni „ludzie interesów" — jak sami siebie określają autorowie manifestu — w rozumowaniu swem nie docenili roli czynnika tak dalece realnego, jak istnienie narodów. Rozpaczają nad „zawaleniem się wielkich politycznych jednostek w Europie" i z komiczną powagą przypisują to... zbytniemu liczeniu się z „rasowemi animozjami" ludów europejskich. Nie potrafili nawet przypuścić, że w tej sile, która spowodowała „zawalenie się" takich „jednostek", jak Cesarstwo niemieckie, Rosja, Austro-Węgry, a jednocześnie przyniosła niepodległość Polsce, Czechosłowacji, Finlandji, Łotwie, Estonji, Litwie, która zjednoczyła Rumunję i Jugosławję, zaś Włochom i Francji umożliwiła odzyskanie oderwanych prowincyj— że w tej sile, tak płodnej, musiało jednak być coś znacznie większego, niż „animozje", musiała być potęga instynktu narodowego, nie dająca się zniszczyć wola narodów, chcących niepodległości i dla jej osiągnięcia i obrony gotowych na ofiary stokroć boleśniejsze, niż nawet „zadanie ciężkiego ciosu międzynarodowemu handlowi".

Rozpoczęta niedawno Konferencja Imperjum Brytyjskiego wskazuje na niemałe trudności, piętrzące się przed angielską polityką kolonjalną. Nie jest łatwą rzeczą zdać sobie sprawę z dotychczasowego wyniku obrad, po większej części uznanych za poufne. Ale już takie fakty, jak przemówienie powitalne premjera Południowej Afryki, gen. Hertzoga, domagającego się całkowitej samoistności państwowej, przyznanej w drodze międzynarodowej, jest ze stanowiska jedności Imperjum Brytyjskiego zjawiskiem nader niepokojącem. Zagadnienie stosunku wzajemnego Anglji i dominionów staje się coraz trudniejsze i coraz bardziej skomplikowane.

Sprawa układu litewsko-sowieckiego, w którym poruszona została kwestja przynależności do Polski ziemi Wileńskiej, nie pozostała bez konsekwencyj na terenie dyplomatycznym. Rząd polski przesłał rządowi Z. S. S. R. notę, przypominającą, że Wileńszczyzna jest „besporną, integralną częścią terytorjum Rzeczypospolitej Polskiej", fakt ten stwierdziła też raz jeszcze uchwała Konferencji Ambasadorów. Jednocześnie w wywiadzie udzielonym przedstawicielom prasy p. minister spraw zagranicznych Zaleski stwierdził, że „rząd polski od lat niezmiennie stoi na stanowisku konieczności porozumienia z Litwą" i że pomimo „wystawiania na próbę naszej cierpliwości" stanowisko Polski „i tym razem nie ulegnie zmianie".

Miejmy nadzieję, że natomiast „ulegnie zmianie" stanowisko Litwy, i to tem szybciej, im bezwzględniej przekonani będą politycy kowieńscy, że „kwestja wileńska" nie istnieje i że przenigdy nie będzie takich „możliwości" i „kombinacyj" któreby, dopuszczały inne jej, niż obecnie, rozwiązanie.

J. R.

NAUKA I LITERATURA

KSIĄŻKA P. MORSTINA O „KRAJU LATYNÓW"

PRZED poznaniem książki p. Ludwika Hieronima Morstina „W Kraju Latynów" przeczytałem recenzję p. Ludomira Komierowskiego o niej (p. szereg felietonów w krakowskim „Głosie Narodu" p. t. „Jak to było „W Kraju Latynów", „Fałszywe brylanty", „Moral insanity"). Recenzja ta rzucała bardzo niekorzystne światło na książkę p. Morstina. Recenzent zarzucał autorowi „W Kraju Latynów" „przywłaszczenie sobie bez podania

źródła wyników czyichś dociekań i poszukiwań, tudzież argumentów na ich poparcie, a więc myśli, spostrzeżeń, porównań i cytat",—nietylko zarzucał mu to wszystko, lecz i wskazywał skąd, z jakich źródeł, nie wymieniając ich, brał pełną garścią p. Morstin, co, jakie „myśli, spostrzeżenia, porównania etc..." obcych badaczy kraju i cywilizacji Latynów sobie „przywłaszczył".

I tak recenzent wykazał, że cały rozdział I książki p. Mortsina, zatytułowany „Strumień Tybrowy", jest wzięty, zarówno wiadomości, jak nawet cytaty, z dzieła M. Pensutiego *„Il Tevere"* (Rzym 1923 r.); że w rozdziałach: „Przedmieścia Romy", „Grono Bakchusa", „Światła o zmierzchu", wprost przepisywał poglądy i spostrzeżenia głośnego przed kilkudziesięciu laty francuskiego badacza starożytności rzymskich Gastona Boissier'a (*„Promènades archèologiques"*, *„Nouvelles prom. arch."*, *„La Religion romaine d'Auguste aux Antonius"* i t. p.), podając je za swoje; że tak samo przywłaszczał sobie myśli i uwagi wielu innych autorów (np. A. Bellessot'a z powodu Wergiljusza, E. Ripert'a z powodu Owidjusza, E. Bovet'a — z powodu ludności Zatybrza oraz opiewających ją sonetów Belli'ego i t. p.) — nie wspominając wcale czytelnikowi o ich istnieniu. Ale na tem nie kończą się zarzuty p. Komierowskiego. Przyłapuje on wciąż p. L. H. Morstina na wszelkiego rodzaju hebesostwach, świadczących niezbicie że autor często nieorjentuje się w rzeczach elementarnych, dotyczących kultury klasycznej, a także włoskiej, chociaż chwali się, że „nigdy pierwszy raz do Rzymu nie przyszedł", że słowem z tem wszystkiem oddawna był obyty. Drwi więc sobie recenzent z tej rzekomej wiedzy autora i śmieje się z jego pewności siebie. Bo jakże tu nie śmiać się, kiedy się okazuje, że autor tłumaczy Wergiljuszowe kozy przez owce, a barany przez byki, że Tyber i Tybur (Tivoli) to dla niego jedno i to samo; że „różowe Cezarów ogrody" umieszcza „nad klasycznemi Tyburu wodami" t. j. nad słynnemi kaskadami w Tivoli i t. p.

Czytając recenzję p. L. Komierowskiego nie wierzyłem oczom swoim. Sądziłem, że recenzent cokolwiek przesadził. Po przeczytaniu książki p. Morstina, przekonałem się, niestety, że recenzent miał zupełną słuszność, że wszystkie jego zarzuty są poparte dowodami. Tak jest! Autor wciąż czerpie swoją wiedzę o „Kraju Latynów" z obcych źródeł, lecz o nich przemilcza, często przepisuje całe zdania i okresy z dzieł rozmaitych pisarzy, lecz czytelnika nie informuje o tem, — a wreszcie, jak sam puści się na własne, „oryginalne" poglądy i uwagi, to doprawdy, niewiadomo, co tu bardziej podziwiać — naiwność dyletanta, czy też zuchwalstwo nieuka?

Co mamy sądzić o oryginalności poglądów autora, gdy się spotkamy z takim naprzykład: „Żeby się nie nudzić, — powiada p. Morstin — Rzymianin podbił narody i podróżował po wszystkich krajach, szukając wrażeń" (str. 206).

Podobną oryginalnością odznaczają się poglądy autora na upadek państwa Rzymskiego, spowodowany, jak twierdzi p. Morstin, przez to, że „patrjotyzm włoski, który August rozbudził, przerodził się wkrótce w szowinizm rzymski".

Tego rodzaju nonszalanckie sądy, dotyczące charakteru Rzymian oraz losów państwa rzymskiego, składa p. Morstin, na „siedzącego pod strzaskanemi kolumnami Genjusza historji", który „zmusza myśl do refleksji" (str. 56). Zaiste biedny ten Genjusz historji, którego p. Morstin czyni wspólnikiem własnych wyłącznie „kiepstw", jakby się wyraził wiesz Czarnoleski.

Dzieje starożytnego Rzymu wyjaśnia autor, jak widzimy, niezbyt trafnie, ale i w nowożytnych dziejach jego spadkobierców niezupełnie się orjentuje.

Znowu proszę sądzić: „Czytając historję Rzymu, można odnieść powierzchowne wrażenie, że jego potęgę nie tyle wyrąbali mieczem wodze legjonów, co wygadali wielcy mężowie stanu na trybunie politycznej"... Tu następuje szereg faktów historycznych, popierających na serjo to „powierzchowne wrażenie", a więc: Katon i Kartagina, Cyceron i Katylina, Antonjusz nad zwłokami Cezara, no i potem nagły, bystry zwrot do dziejów najnowszych półwyspu. „A wreszcie (to „wreszcie" jest nieocenione) w najnowszych czasach—powiada p. Morstin wciąż przymuszany przez Genjusza historji — gdyby nie kilkanaście przemówień D'Annunzia, Włochy nie byłyby weszły do wielkiej wojny, czem utrwaliły swoje mocarstwowe stanowisko w Europie i powiększyły terytorjum nowego rzymskiego imperjum" (str. 36).

Panu Morstinowi, jako poecie, wolno fantazjować na tematy najpoważniejsze, ale p. M. przebywał w Rzymie przez trzy lata także w charakterze naszego *attachè* wojskowego, jakże więc niepochlebne wystawia świadectwo sobie samemu, wypisując podobne brednie o przyczynach udziału Włoch w wielkiej wojnie, w książce, która może się dostać w ręce niejednego Włocha, a są nawet tacy, co pragną, by ona do rąk obcych się dostała, uważają bowiem, że winna być, co rychlej, jako jeden z wybitnych objawów kultury polskiej, przełożona na wszystkie języki cywilizowanego świata. Czytając książkę p. Morstina, zauważyłem, że nietylko przywłaszcza on sobie cudze myśli i spostrzeżenia, nie cytując ich źródła, jak to wykazał p. Komierowski, lecz prócz tego rozwija je zawzięcie „po swojemu" t. j. w taki sposób, że czyjeś uwagi, względnie słuszne, stają się, pod jego piórem, bezwzględnym abur-dem. Tak np. w rozdziale „Morze Bogów" zapożyczywszy u G. Boissier'a (którego nie wymienia) poczęści słuszną uwagę, że Rzymianie w przeciwstawieniu do Greków nie lubili morza, tak ją gorliwie rozwija, że kończy się to zupełnie niedorzecznemi wnioskami.

P. Morstin, olśniony i zaślepiony uwagą Boissier'a, twierdzi np., że „niema w łacińskich narodach zamiłowania do żeglugi" (str. 109). Nie sądzę, żeby p. Morstin nie wiedział o tem, że tacy wielcy żeglarze, jak Kolumb, Vasco de Gama, Magellan i t. d. byli przestawicielami narodów łacińskich, dlaczegóż więc przypisuje im wstręt do żeglugi? Najpewniej dlatego, że chciało się mu i tu coś oryginalnego dodać od siebie, zwłaszcza gdy zasadniczą myśl ściągnęło się od innych: może w tem jest coś w rodzaju wyrzutu sumienia.

Snując dalej własne myśli na temat braku zamiłowania do żeglugi u narodów łacińskich, p. Morstin powiada: „Niema też Włoch zaufania do niespokojnego żywiołu..." A któżby je miał, kochany panie! Najlepiej chyba ten żegluje, kto niema zaufania do „niespokojnego żywiołu". Najpewniej nie mieli do niego zaufania zarówno Genueńczycy, jak i Wenecjanie, — przecież przez szereg wieków jedni z najsławniejszych i odważniejszych żeglarzy, bodaj na wszelkich wodach, otaczających półwysep.

Zwracam uwagę na to wszystko, nie w chęci polemizowania z p. Morstinem, gdyż na to nie zasługuje, jako autor, który uchybił swemu zawodowi pisarskiemu, strojąc się w cudze piórka,—lecz dlatego, żeby cokolwiek odczuł, iż niesłusznie oburzył się na p. Komierowskiego za to, że ten odsłonił jego metody pisarskie i książce „W Kraju Latynów" odmówił wartości.

Nie dość, że p. Morstin rozgniewał się na p. Komierowskiego, lecz nadto pomówił go o złą wolę i „niepohamowaną zawiść". Nie wiem doprawdy, czego p. Komierowski miałby zazdrościć p. Morstinowi? Sławy wojennej chyba jaknajmniej, bo ta sława p. Morstina nie zaznaczyła się na polu chwały orężnej, lecz co najwyżej w pisaniu paszkwilów na Francję i Francuzów z okresu wielkiej wojny. Znajomości starożytnego Rzymu i nowożytnych Włoch — także nie bardzo, gdyż p. Komierowski lepiej na tem się

zna od p. Morstina, czego najlepszym dowodem jest to, że bez większego trudu dotarł on do tych źródeł, z których autor „W Kraju Latynów“ czerpał swoją o nim tyle fenomenalną wiedzę. Mógłby on tylko pozazdrościć p. Morstinowi odwagi pisarskiej, t. j., mówiąc ordynarnie, tupetu pisania o rzeczach, których się należycie nie zbadało, — gdyby miał takie samo pojęcie o rzetelności literackiej, jakiego wymowne dowody złożył p. Morstin w swojej książce. P. Komierowski jednak pod tym względem różni się zasadniczo od p. Morstina.

Gdyby autor „W Kraju Latynów“ miał więcej smaku i więcej prawdziwego kultu dla cywilizacji klasycznej, to zamiast oburzać się na p. Komierowskiego, podziękowałby mu w głębi duszy za jego uwagi, skorzystałby z nich i cichutko, nie wzywając pomocy rozmaitych powag krakowskich przygotowałby drugie wydanie swojej książki, oczyszczając ją z tych niedorzeczności od jakich się roi, i kwitując z tej oryginalności, jaką tam zabłysnął.

Radzę to p. Morstinowi, jako jeden ze szczerych miłośników kraju Latynów, dawnych i dzisiejszych; radzę to, jestem bowiem zdania, iż w książce p. Morstina nie brak uwag i spostrzeżeń trafnych, nie brak wrażeń ujętych w piękną formę literacką, słowem, że książkę tę czytałoby się nie bez przyjemności, gdyby nie te jej grzechy, które tak sumiennie wytknął p. L. Komierowski.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

ZAKON „ANIOŁA WOJUJĄCEGO“

(na marginesie twórczości Marji Grossek)

W BOGATEJ puściźnie literacko krytycznej po zgasłej niedawno Marji Grossek - Koryckiej na szczególną uwagę zasługują jej poglądy filozoficzno - etyczne. Główne jej dzieło, wydane w przededniu wojny p. t. „Medytacje“ [1]) obszerny zbiór myśli, uwag, obrazów polemik nabiera dziś właściwego znaczenia.

Dziś — gdyż dopiero wojna i bolszewizm otworzyły nam oczy na głębokie niedomagania cywilizacji europejskiej, na gangrenę ducha czasu.

„Medytacje“ były dzwonem na trwogę — ale zostały przemilczane. Za obco snadź brzmiały. Dziś zato musimy je wciągnąć na listę obrońców kultury. Spróbujmy streścić i oświetlić główną koncepcję autorki, ideę „Anioła Wojującego“ na tle epoki. Marja Grossek na wstępie zaznacza, iż praca jej „jest sprowadzeniem świadomości w jej akcie myślenia do prostoty poetyckiej, dlatego to Myśl medytująca osypuje się kwiatami i używa skrzydła“ — i dalej: „Medytacje moje nie należą do filozofji, ale do Wiedzy Życia“.

Droga tedy wiedzie nie przez dialektykę, ale przez intuicję, nie przez pojęcia lecz obrazy. Stąd szereg trudności dla sprawozdawcy, zmuszonego do nastrojenia się w określony krytyczno-mistyczny sposób.

Niedarmo autorka mówi, że jest „Przewodnikiem w Górach Ducha“.

Punkt wyjścia dla wielu jednak zgoła będzie dostępny. Jest to stanowisko opozycyjne wobec ideologji i ducha spółczesności. Ideologji uważanej bardzo ogólnie, niezależnie od narodowościowych zagadnień. Ducha europejsko-amerykańskiego w jego antyduchowości i nihilizmie. Cywilizacja nasza upada, wiara w nieskończoność postępu jest złudzeniem, bo „Rozmach Życia“ (*élan vital* Bergsona?) obejmuje „progresję i regresję“, a perwersja duchowa zabija nawet wiarę w Dobro. „Noc nihilizmu...“

[1]) M. Grossek—Medytacje. t. I. Synteza współczesności. t. II Anioł wojujący. Kraków. Gebethner i S-ka.

Marję Grossek zajmują przedewszystkiem filozoficzne przesłanki ducha czasu. Śmiało rozprawia się z relatywizmem, z balansowaniem względności, prowadzącej do stapiania prawdy „z cieniem swoim: z nieprawdą“, zwalcza i materjalizm słusznem powołaniem się na ścisłą naukę spółczesną i utylitaryzm etyczny, ową konsekwencję zaślepień pozytywizmu, występujący „z musu mechaniki współżycia“ zamiast nakazywania „ogrodu mistycznego duchowego cudu“.

Z filozofów przełomu XIX i XX w. zajmuje się głównie Nietschem, Jamesem i Bergsonem. Autorka „Medytacyj“ posiada w wysokim stopniu dar wyczuwania duchowej postawy twórców, linij ich wewnętrznego oblicza. Ze szczególną śmiałością i trafnem podejściem zaziera w głąb kapryśnego autora „Zaratustry“. Obnaża jego, wrogość względem morału, jego „amoralizm“, jego kult egoizmu i bezprawia jako zasady prawa, jego niszczycielstwo Dobra w tradycyjnem, chrześcijańskiem pojęciu — a równocześnie widzi jego „nadzwyczajną uczciwość myślicielską“, jego odwagę cierpienia, jego pęd ku wyżynie, jego zwalczanie Natury, jego rdzeń chrześcijański zakończony zwrotem w negację. „Nietsche to zdemonizowany anioł“ — tak brzmi wysoce ciekawa charakterystyka filozofa nadczłowieczeństwa.

Do rządu swych sprzymierzeńców zalicza Marja Grossek głośnego H. Bergsona. Tu ma do czynienia z czystym teoretykiem, z człowiekiem tylko myślowych konstrukcyj. Bierze odeń pogląd na intuicję, przekonanie o rozszerzalności świadomości, o płynności i nowości stawania się, wreszcie o wolności i odpowiedzialności woli — i czyni z tego broń w walce z sofistyką ducha czasu, z determinizmem i trywjalizacją człowieka.

Przechodząc jednak do wiary w Absolut, do gruntowania wiary i moralności mistycznej staje już zupełnie samodzielnie, wznosząc z całym wysiłkiem ducha cokół pod ołtarz „Anioła Wojującego“.

Etyką najwyższą dla Marji Grossek jak etyka mistyczna, intuicyjna, etyka najwyższego poświęcenia i wyrzeczenia, tam, gdzie „zaczyna się samokrzywdzenie“.

Ale oto występuje druga strona jej umysłowości: trzeźwość analizy stosunków społecznych, widzenie zezwierzęcenia, egoizmu, „grzechu bezmiłości“, upadku sztuki, pogardy religji — odmalowane z niepospolitą ekspresją. Jak zespolić mistykę z rzeczywistością? Marja Grossek kocha życie, rozumie formy jego przejawów od najbardziej ograniczonych do najwznioślejszych, a mistyczno-nerwowe dyspozycje swej twórczości uwydatnia w koncepcji Życia otoczonego Tajemnicą, Życia radosnego w słonecznej wierze w Absolut Dobra.

Metodą realizacji takiego Życia jest religja, ściślej chrześcijaństwo.

Tu mamy do czynienia z egzegezą postaci Chrystusa w duchu Mocy. „Uczyniono Go wzorem bierności“ — w „interpretowaniu w kierunku Dobroci biernej“ — mówi Marja Grossek — tymczasem „Chrystus walczy“ — „duchem o ducha“! Podkreślony też został pierwiastek życiowej racji: „Chrystus jest zawsze ogromnie „życiowy“ nawet wtedy, gdy człowiekowi zaleca bezstroskność lilij polnych“, „uczy swych uczniów bardzo trudnej sztuki pięknego dobra: naturalnego gestu w czynieniu nadnaturalnem“.

Stąd nakaz zgodny z duchem Chrystusa: „Chrześcijaństwo rozwijało dotychczas wyłącznie wzór słodkiego gołębia i lilji przeczystej—czas sięgnąć po wzór trudniejszy: Wojującego Anioła“.

Słusznie też widzi w katolicyzmie mądrość tak pojętego chrześcijaństwa — wojującego, silnego.

Tu bierze górę poezja.

Ognistemi burzami, niby witraże katedry, są malowane

losy Dobra w niewoli Zła, konieczność dźwigania tego, co ludzkie, na wyżyny boskości, nawet gdyby przyszło wybierać „między cnotą samolubną, pociągającą dla drugich konsekwencje fatalne... a błogosławionym w skutkach grzechem“.

Aby Dobro ostać się mogło, musi walczyć, musi posługiwać się przemocą — a walka i przemoc są Złem, tak je zwie M. Grossek. Czy nie brzmi taka synteza jak dysonans?

Powtórzmy, trzeba się na odpowiedni ton nastroić. Wtedy wizja „Rycerzy Dobra“ używających Zła, nas przekona.

Bo istotnie: „musimy używać Zła dla uchylenia większego odeń teraźniejszego Zła... dla odparcia atakującego Zła“. Czyż to aby nie stara dewiza „cel uświęca środki“? Kto podejmowałby się rozstrzygać, czy dany cel istotnie uświęci gwałtowne środki? Zagadnienie praktycznie rozwiązalne tylko pod jednym warunkiem: gdy chodzi o Naród, o jego całość, moc, zdrowie.

Tej interpretacji brak w dziele Marji Grossek i dlatego nie możemy przystąpić do realnych wskazań, do organizacji „Rycerzy Dobra“. A szkoda.

Poetka, w niepospolitym stopniu wrażliwa na bóle ojczyzny, rozumiejąca naszego dziejowego „Króla Ducha“, była doskonale predysponowana do rzucenia wizji w duchu „heroicznej interpretacji Ewangelji“ na tło narodowe.

Znamy dziś w Europie człowieka, któremu do ucha niewątpliwie szeptał jego „Anioł wojujący“. To Mussolini. Ale on właśnie wsparł się mocno na ideologji narodowej. I zwyciężył.

Anioł Wojujący musi mieć na piersi godło Państwa— inaczej może wpaść w wir fanatyzmu.

Powyższe uwagi nie powinny w niczem osłabić doniosłości „Medytacyj“. Ogromna praca stworzenia dzieła na tle myśli europejskiej, na tle najszerszych widnokręgów, najzawrotniejszych wyżyn — przejmuje nas szacunkiem i jest pięknym fundamentem zasług Poetki.

L. KONOPACKI

KU CZCI KASPROWICZA

Dnia 10 paźdz. odbył się, w Wilnie staraniem Narodowej Organizacji Kobiet uroczysty obchód ku czci Kasprowicza. Złożyły się na niego przemówienia prof. St. Pigonia i M. Limanowskiego, tudzież recytacje utworów Kasprowicza w wykonaniu członków Reduty, — pań: Gallowej, Hohendlingerówny, Niedzielskiej, Perzanowskiej i panów Vorbrodta i Wiercińskiego. Wygłoszono „Moją pieśń wieczorną“ urywki z poematu: „Na wzgórzu śmierci“, z „Uczty Herodjady“, dwie ballady i kilka utworów z „Księgi ubogich“. Publiczność stawiła się licznie, teatr na Pohulance wypełniony był po brzegi.

*

P. Kazimierz Czachowski opracował bardzo dokładną bibljografję Jana Kasprowicza. Całość podzielił na dwie części: 1) to co sam Kasprowicz pisał, 2) to co o nim pisano. Układ bardzo przejrzysty. Nader cenną pracą jest spis przekładów dokonanych przez K-cza. W samych wydaniach książkowych okazało się 86 pozycyj. Przemówień publicznych znalazło się 8, rozpraw literackich 16. W literaturze o K-czu autor wynotował: osobnych publikacyj 6, w dziełach różnych ocen 44, artykułów w prasie 74. Do tego dojdzie literatura z powodu śmierci. Bibljografję Kasprowicza wydać ma osobno Tow. Miłośników Książki w Krakowie.

U SŁOWIAN

Jednej z najbardziej interesujących postaci historycznych świata słowiańskiego, bohaterowi narodowemu serbskiemu XIV stulecia, Duszanowi Nemanji, poświęcona jest wielka powieść historoczna D-ra Vladana Djordjevića, która ukazała się w ostatnich dniach w Zagrzebiu p. t. „*Car Duszan — srbski istorijski roman iz XIV weka*“ (wyd. Hrvatski stamparski zavod, Zagreb 1926). Z dużą erudycją na podstawie źródeł współczesnych opracowana 1100-stronicowa powieść dzieli się na trzy części: I. Młody król, II. Król, III. Car. W dziele tem w najdrobniejszych szczegółach przedstawiony jest najświetniejszy okres południowo-słowiańskich dziejów, okres panowania Duszana Wielkiego, cara Serbów, Bułgarów i Greków.

*

Ukazało się w b. r. w Białogrodzie bardzo pożyteczne dzieło p. t. „*Godisnjak Kraljevine S. H. S. za 1926*“ (Rocznik Królestwa SHS na r. 1926). Jest to wszechstronny informator o państwie Serbów, Chorwatów i Słoweńców. Na 500 stronach w dużej 8-ce, ozdobionych 60 ilustracjami, zawiera wiadomości z poszczególnych działów nauki o państwie, poprzedzone artykułem o królu Aleksandrze I i o dynastji. Książka godna ze wszechmiar polecenia dla każdego, interesującego się życiem naszych południowych pobratymców; przygotowuje się obecnie angielskie i francuskie wydanie „Rocznika“. Adres wydawn. jest: Godisnjak Kraljevine SHS., Beograd, Postanski fah 114.

*

W związku z tegorocznem obchodzeniem 50-ej rocznicy t. zw. kwietniowego powstania przeciw Turkom z r. 1876, w Bułgarji ukazał się specjalny podwójny numer wybitnego pisma kulturalnego sofijskiego „*Złatorog*“, (R.VII, 5—6) poświęcony jednemu z wodzów powstania, wybitnemu poecie Christo Botewowi.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Medjolański miesięcznik „*Il Libri del Giorno*“ w ostatnim, październikowym zeszycie zamieszcza artykuł prof. A. Palmieri'ego p. t. „*Praeceptor Poloniae*“, w którym jasno i źródłowo, z powołaniem się na A. Snowackiego, St. Krzemińskiego i ostatnią pracę prof. Wł. Konopczyńskiego, przedstawiona jest rola i zasługa Stanisława Konarskiego w dziele odrodzenia narodowego Polski w XVIII stuleciu. W tymże numerze znaleźć można piękny artykuł p. St. Kalinowskiej p. t. „Jan Kasprowicz“.

*

W numerze 38 „*La Revue Hebdomadaire*“ p. Omer Neveux, ukrywający się pod pseudonimem Jean Picardin, zamieszcza bardzo interesujący artykuł p. t. „*Le problème du couloir poméranien*“ („Zagadnienie kurytarza pomorskiego“). Duża erudycja historyczna i ekonomiczna, oraz widoczna znajomość omawianego tematu sprawia, iż rozprawa p. Omer Neveux zasługuje na zwrócenie na nią uwagi zarówno w świecie politycznym, jak i wśród najszerszych kół społeczeństwa francuskiego.

*

„*L'Algérie dans la littérature Française*“ (Champion) jest książką, w której autor p. Charles Tailliart, vice-rektor Akademji Algieru, podaje nietylko bardzo obszerną bibljografję wszystkich utworów, jakie od stu lat zostały poświęcone tej kolonji francuskiej, lecz równocześnie krytykę prac, dotyczących Algieru. Oprócz tego p. Tailliart kreśli ogólny obraz historji Algieru pod panowaniem francuskiem.

*

P. Georges Oudard po powrocie z interesującej podróży, która z Hawru zaprowadziła go na wybrzeże afrykańskie, wydaje u Kra: „*Ressemblance*“. Autor „*L'Homme marié*“ na podstawie obserwacji dochodzi do przekonania, że podobieństwo fizyczne bardzo często łączy się u ludzi z podobieństwem duchowem.

*

P. François Mauriac jeden z najbardziej interesujących pisarzy obecnej generacji, autor „*Genitrix*“, „*Le fleuve de feu*“, „*Le baiser au Lépreux*“, „*Le désert de l'amour*“ kończy obecnie nową powieść, która będzie nosiła tytuł „*Locuste*“.

*

Wyścigi zajmują w życiu Francuzów poważne miejsce, gdyż w totalizatora grają wszyscy, począwszy od najwyższej arystokracji, a skończywszy na zamiataczach ulic. P. Louis-Jean Finot, naczelny redaktor „*Revue Mondiale*“, poświęca temu światu „wyścigowców“ interesującą powieść p. t. „*Petit-Bout, prince des jockeys*“ (Albin Michel). Marcel Leroy, przezwany Petit-Bout, w pogoni za rozgłosem staje się żokiejem, dzięki swej odwadze i śmiałości zdobywa sławę, wreszcie jest wmieszany w intrygi i mniej lub więcej uczciwe kombinacje wyścigowe.

*

P. Paul Heuzé interesuje się, jak wiadomo, wszelkiemi eksperymentami świata okultystycznego i spirytystycznego. W pracach swych na ten temat wyróżnia się daleko posuniętym sceptycyzmem, czego wyrazem jest choćby jego ostatnia książka „*Fakirs et Fumistes*“ (Editions de France) w której wykazuje, na podstawie własnych doświadczeń, jak niesłychanie łatwo publiczność pada ofiarą najrozmaitszych kabotynów, którzy z nauką nic wspólnego nie mieli i nie mają.

TEATR

„DZIEJE GRZECHU"

TEATR Polski, wystawiając „Dzieje grzechu" St. Żeromskiego z pobudek, nie mających ścisłego ze sztuką związku, popełnił śmiertelny grzech przeciwko sztuce i zdrowiu moralnemu społeczeństwa. Nie rozgrzesza go t. zw. duch czasu, owszem winę potęguje. Zarazem wykroczył przeciwko obowiązkowi, jakie mieć winien wobec zmarłego pisarza. Wiadomo bowiem, że ten sprzeciwiał się przeróbkom „Dziejów grzechu" na scenę. Obowiązuje przytem ogólna zasada: *de mortuis nil nisi bene.* A to, co zrobiono w teatrze, to było jaknajgorsze o zmarłym wspominanie. Za życia za tę powieść odbierał cięgi. Po śmierci ci sami ludzie, którzy manifestowali ubóstwianie autora, posłużyli się nim bezceremonjalnie dla robienia kasy, wiedząc, że wydzieranie treści anegdotycznej z dzieła sztuki jest barbarzyństwem. Forma w sztuce sankcjonuje treść. Żeromski tylko w formie studjum powieściowego mógł powziąć koncepcję tego dzieła. Nie opowiadałby samej anegdoty drastycznej przed młodzieżą i kobietami, a tem bardziej nie pokazywałby w salonie scen z życia apaszów.

P. Schiller zrobił to, co robi z kobiety śmierć, gdy ją położy na stole prosektoryjnym ku ludzkiej refleksji: I pomyśleć, że byli ludzie, którzy w niej się kochali! Żeromski nie chciałby patrzeć na to, jak p. Schiller bawi się nożem.

Od r. 1905 falami toczy się w Polsce prąd „sanacji moralnej", przenikający we wszystkie dziedziny, bezczelnie zaś liczący na bezkarność w dziedzinie sztuki. Fale te rozbijają się o brzeg polski, od czasu do czasu zalewając niziny, na których pozostają cuchnące kałuże. Powietrze od nich stało się malaryczne; giną od niego poeci (chorował na tę malarję Żeromski), a komary zarazę roznoszą. Takie przedstawienie, jak to o którem mowa, to uczta duchowa dla Zielińskich, Królikowskich i ich kochanek. To wreszcie „artystyczna" odsada *(repoussoir)* dla całego obrazu naszego życia, aby wydawało się stosunkowo normalnie.

Po-chroniczna choroba grozi naszej kulturze. Dobre instynkty mas opierają się jeszcze działaniu sanatorów. Pan Schiller nic nie wskórał w teatrze Bogusławskiego; teraz eksperymentuje swoje idee na scenie, przeznaczonej dla sfer oświeconych. Czy one oprą się tej bolszewickiej agitacji?

„Dziejów grzechu", jako sztuki dramatycznej, nie podobna rozważać. Jest to film żywy kilkudziesięciu obrazów na tematy wzięte z powieści, przeznaczony dla niewybrednych analfabetów, którzy nie potrafią przeczytać dzieła, a i w kinie utknęliby na tekstach objaśnień. Tutaj aktorzy mówią. Cóż mają robić!

Z. W.

NOWE KSIĄŻKI

J. Ig. Kraszewski. Djabeł. Tom I, Bib. dzieł wyb.

Stan. Jerzy Peliński. Ziemia. Poezja. Kraków 1926. Wiedza i sztuka.

Henri Glass. Le bolchevisme chez les jeunes. Varsovie 1926. Str. 30.

Ludwik Ćwikliński. Seneki Apokolokyntosis. Satyra na śmierć ces. Klaudjusza. Przełożył... Poznań 1926. Tow. Przyj. nauk. Str. 70.

W. Sikorski. Przyczyny kryzysu gospodarczego. Warsz. 1926. Str. 7. Cena 30 gr.

Przegląd Powszechny. Kraków, wrzesień.

Prąd. Warszawa. Nr. 7-8.

Firma nakładowa Gebethnera i Wolffa wydała tej jesieni:

Ferd. Goetel. Z dnia na dzień. Powieść. Str. 320.

Zdz. Dębicki. Z północy i południa. Finlandja — Włochy — Szwecja — Rumunja — Turcja. Str. 336.

Stan. Karczewski. Brzegiem Bałtyku. Przewodnik geologiczny po polskich brzegach Bałtyku z 97 ilustr. Str. 142.

Wład. Mickiewicz. Pamiętniki. Tom I (1838 — 1861). z portretem autora. Str. 454.

Tad. Joteyko. Nowy podręcznik do nauki muzyki w szkołach ogólnokszt. Zesz. V (część V). Str. 85.

Piotr Maszyński. Polski śpiewnik szkolny. Zbiór ćwiczeń i pieśni wraz z teorją. Cz. IV. Str. 39.

Klemens Junosza (Szaniawski). Łaciarz. Froim. Biblj. Un. Lud. 22.

Nakładem Wydawn. Zakładu Narod. im. Ossolińskich we Lwowie wyszedł zbiór nowel:

Jan Kaden-Bandrowski. W cieniu zapomnianej olszyny.

Antoni Repeczko. Gospodarka finansowa i budżet W. M. Gdańska na r. 1926-27. Warsz. 1926. Str. 32.

ZMARLI

Zmarł w Krakowie ś. p. Marjan Dubiecki pisarz, historyk, autor popularnej Historji literatury polskiej. Pisał też wiele o powstaniu 1863 r. Znał te czasy dobrze jako uczestnik powstania i członek ówczesnego Rządu Narodowego i przyjaciel Traugutta.

NA MARGINESIE

Masonerja już nie krępuje się zasadami konspiracji. „Rozwój" donosi, że w dn. 13 października przy ul. Piotrkowskiej 77 w Łodzi nastąpiło otwarcie masońskiej loży „Synów Przymierza". Prezesem został p. Oskar Kohn, współwłaściciel „widzewskiej manufaktury". Wiceprezesem p. J. Rozenblatt, również przemysłowiec włókienniczy. Na otwarcie przybyli przedstawiciele zagranicznych lóż „Synów przymierza". Jeden z członków loży, p. Klumel, zarządził doraźną zbiórkę wśród gości, która przyniosła 132 tysiące złotych. „Burżuazja", jak widać, hojną ręką wspiera tajne związki.

*

Dziennik półurzędowy „Epoka", redagowany przez żydów pod osłoną mec. T. Zagórskiego, w d. 22 paźdz. na pierwszej stronie wielkiemi literami składa gratulacje jubileuszowe mistrzowi loży warszawskiej Andrzejowi Strugowi, „chlubie polskiej literatury i dawnemu bojownikowi o niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej". Rzeczypospolita niedawno istnieje, ale dlaczego dzisiaj p. Strug nie walczy o jej niepodległość od masonerji międzynarodowej?

*

Ażeby dać jakieś zajęcie ministrowi robót publicznych, przyłączono do jego „resortu" pocztę, telegraf i telefon. Ze względu na zagadnienie „czarnego gabinetu", strzegącego zastrzeżonej konstytucyjnie tajemnicy listów, oraz „stacji podsłuchowej" w telefonach jest to połączenie słuszne. Należałoby jednak przydać jeszcze bojówki strzeleckie, krórych pogromową działalność można przecie także zaliczyć do „robót publicznych".

*

Klown i atleta cyrku sanacyjnego a przytem oprawca czci ludzkiej, mający z najmu bronić obecnego rządu, grozi w swej gazecie, że jednego z ministrów „położy na obie łopatki". Czy nie byłoby sprawiedliwie położyć tego zucha na przodek i otrzepać mu...?

ERRATA

W artykułach p. t. „Dwie postaci konkretywizmu" znalazła się pewna ilość błędów druku; prostujemy kilka zniekształcających sens. Powinno być:

Nr. 34:	str. 105,	kol. I.	W. 16	od dołu:	Abramowskiego pisma *zmuszają* do itd.
„	„ 107,	„ II	„ 10	„ góry:	Stwarzanie demokracji *bezpaństwowej* itd.
„	„ 106,	„ I	„ 14	„ dołu:	*objawu* cywilizacyjnego itd.
Nr. 35:	„ 127,	„ II	„ 29	„ góry:	z *irra*cjonalizmem itd.
„	„ 128,	„ I	„ 1	„ „	myślącego subjektu w ludzkości, substancja itd.
„	„ 128,	„ I	„ 18	„ „	realizacja woli.
Nr. 37:	„ 146,	„ I	„ 20	„ góry:	patrjotyzmie czynnym, *melodycznym* itd.
„	„ 147,	„ II	„ 3	„ dołu:	materjalizm *historyczny*.
„	„ 148,	„ I	„ 32	„ góry:	w *ostateczności* i fizyczny.
„	„ 148,	„ II	„ 4, 5	„ „	*Jedni, dla których* jedyną godną działalnością itd.
„	„ 148,	„ II	„ 7	„ „	*drudzy*, odwracający się itd.
„	„ 149	„ I	„ 1	„ dołu:	*może* być wprawdzie itd.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 6, rocznie zł. 24, za granicą kwart. zł. 9. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM